

KAMENIA

LUBLIN

31.1.1963

Nr 2 (261)

ROK XXX

CENA 2 ZŁ

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

LUBLIN — BIAŁYSTOK — KIELCE — RZESZÓW

INACZEJ

WALDEMAR BABINICZ

W SIARCZYSTY mróz jechałem nocnym niedogrzanym pociągiem do Koszalina. W Katowicach wsiadłem do przedziału podróży w pewnym wieku. Ledwie zajęłem miejsce, opowiedział pasażerom anegdotę o podróżach w nieopalanym pociągu. I tak już do końca: do samego Koszalina. Nikt nie zmużył oka. Przedział trząsł się ze śmiechu. Zdróżeni, rozspani podróżni z innych przedziałów, którzy wpadali jak burza, aby nas uspokoić, zostawali, wolałi „jeszcze coś pikantnego”, otwierali drzwi, aby umożliwić słuchanie innym. Nawet konduktor wysuwał głowę przez okno, wykrzykiwał przedko nazwę stacji i domagał się czerwczytnie: „No ciąg pan dalej”. Nawet pani spod okna, która groziła dyrektorowi kolei, że złoży skargę do samego ministra „za te ładne porządki” i zapewniała, że czuje, jak ją grypa chwytła w kieszcze, nawet ona pojękiwała słabym głosem: „A bodaj pana, że też człowiek może tyle kawałów zapamiętać, jaka szkoda, że nie ma tu mego Funia, w nim dopiero miałby pan słuchacza”.

Dojechaliśmy do Koszalina w świetnych humorach. Narrator przed opuszczeniem wagonu rozdał kilkanaście autografów, przynajmniej piętnastu podróżnych zapisało w kalendarzykach jego adres.

Cóż? Lubimy kawały, anegdoty, lubimy się pośmiać. Bodaj czy nie zdystansowaliśmy na tym polu Francuzów. Nie odstraszył nawet ponury kawał o „anegdoteżkach, kotoryje bielomorskiej kanał postrilli”. Tyle tylko, że ten i ów zabezpiecza się, podając autorytatywne źródło: „Słyszałem go z ust pewnej osoby, która ma kontakty w KC”.

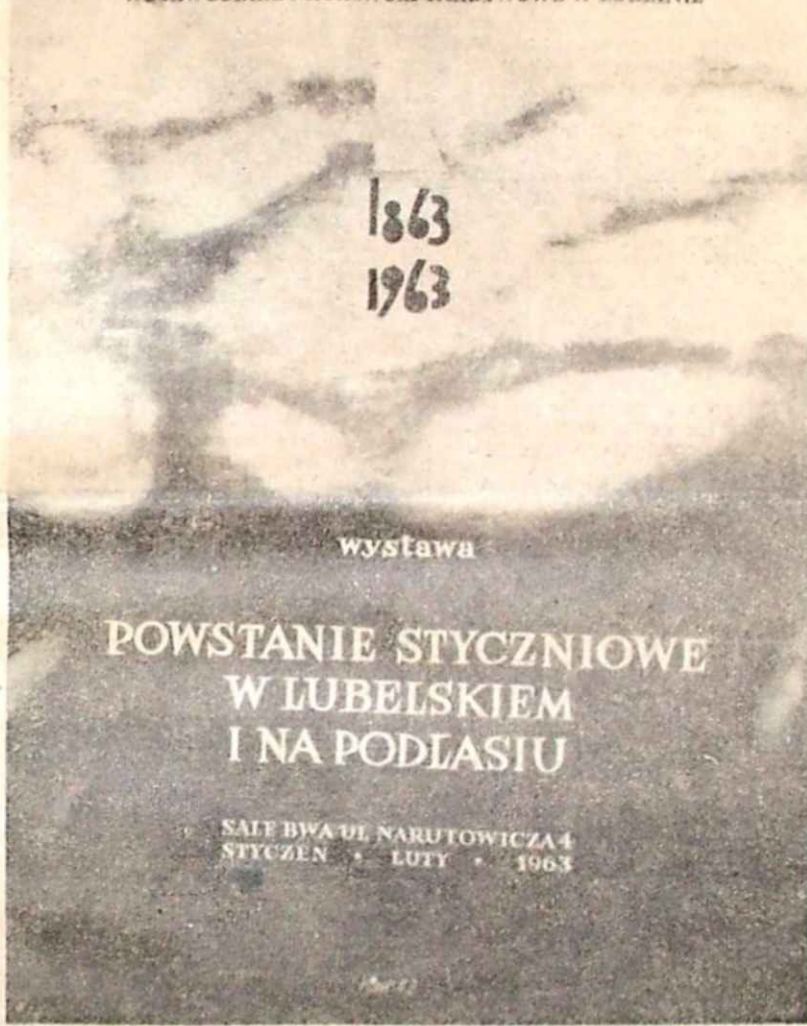
Kawały kursowały w obozach koncentracyjnych, w Warszawie i na prowincji, w czasie łapanek ulicznych, w tramwajach, autobusach, pociągach, docierały do lokali „nur für Deutsche”. Zastępowały znakomity środek Effortil, który regeneruje organizm, przywraca świeżość umysłu, utrzymuje człowieka w atmosferze pogody i optymizmu.

Anegdoty opowiadają dziś w szkołach, dzieci przynoszą do domów najświeższy asortyment, kawały opowiadają prelegenci, profesorowie, politycy, lekarze podczas zabiegów chirurgicznych, sędziowie i adwokaci w przerwach między rozprawami.

Z narodu, który przepadał za celebrą, podniosłymi uroczystościami, patetycznymi deklamacjami, piosenkami o rozmarynie i mogile, stajemy się powoli narodem o silnie rozwiniętym poczuciu humoru, ludźmi, którzy cenią błyskotliwy dowcip, wyrafinowaną, subtelną ripostę.

N. S. Chruszczow zdobył sobie w naszym kraju, a i gdzie indziej, popularność i dlatego m. in., że w przemówieniach swoje wplata pyszne kalambusy, dowcipne, ludowe przypowieści, żartobliwe przysłowia za-

BIBLIOTEKA UNIwersYTETU M.C. SKŁOBOWSKIEJ
WOJEWÓDZKIE ARCHIWUM PAŃSTWOWE W LUBLINIE



wystawa

POWSTANIE STYCZNIOWE W LUBELSKIM I NA PODLASIU

SALE BWA UL. NARUTOWICZA 4
STYCZEN • LUTY • 1963

Afisz wg projektu Juliusza Kuratkowskiego

EPIGONIZM TRAGICZNY

KONRAD BARTOSZEWSKI

Ta rozpacz, która w piękność własną wierzy
Stała się wiarą ostatnią młodzieży.
Juliusz Słowacki

NIGDY jeszcze literatura nie sięgała z taką pasją po „rząd dusz”, nie kształtowała z taką bezkompromisowością charakterów ludzkich, nie przemawiała z taką żarliwością, żądając bezwzględnej wierności ideom, które głosiła — nie bacząc, jak wysoką cenę trzeba będzie za tę wierność płacić, co w okresie romantyzmu.

Romantyzm traktował współczesnych na miarę swoich literackich kreacji, stawiając wobec konieczności wyboru, który nosił w sobie zadatki tragicznych konfliktów. Nade wszystko zaś żądał czynu, który był jednoznaczny z koniecznością ponoszenia ofiar i wyrzeczeń.

Po bujnym okresie tworzenia przychodził zatem okres działania, zatruty goryczą niedokonań. „Godności nie mam — od męki uciekłem”, wyzna z bólem Słowacki w „Rozmowie z matką Makryną Mieczysławską”. A Mickiewicz po upadku powstania listopadowego napisze do przyjaciela: — „smutny, że mi się nie udało choć na chwilę być z wami i wiecznie wam zazdrościć”.

To owa potrzeba działania spowodowała, że autor „Pana Tadeusza” przestał tworzyć, to ona kazała mu organizować Legion i wyjeżdżać po śmierć do Turcji. Tym samym powodował się chory Słowacki, kiedy w 48 roku jechał do Poznania na wieść o wybuchu powstania w Wielkopolsce.

Była w tej pasji działania jakaś obawa przed sądem potomnych, obawa konfrontacji dzieła z życiem.

To, co w przypadku Mickiewicza czy Słowackiego stało się obsesją w okresie pełnej dojrzałości, nad pokoleniem młodych romantyków ciążyło od zarania ich twórczości.

Pokolenie to rozumiało idee romantyczne jednoznacznie. „Czas uderzył w czynów stal” — brzmiało jak hasło tego pokolenia. Z właściwą młodym bezkompromisowością obalili granicę między literaturą i życiem, nie dostrzegali antynomii idei i praw rządzących historią, a w ideałach widzieli jedyną wyznaczniki losów ludzkich.

W tej sytuacji nowy czyn zbrojny, choćby najbardziej niecelowy z punktu widzenia politycznego i wojskowego, stawał się koniecznością psychologiczną i dokonać się musiał. Było to sprawą wierności lub zdrady powszechnie zaaprobowanych ideałów.

W Józefowie Bilgorajskim, w niedostępnym omal zakątku miejscowego cmentarza, znajduje się mogiła powstańcza. Rysując się nieznacznie wy-

KTO ZNAJDZIE TYSIĄC?

JERZY DOSTATNI

MAREK jest uczniem IV klasy szkoły podstawowej. Zmartwienie i radości tego wieku są zupełnie inne od zmartwień naszych, ludzi dorosłych. Dla Marka we wrześnie duży radością, nie docenianą przez starszych, stało się to, że część książek otrzymał zupełnie nowych. Oczywiście nie wiedział, że w ten oto sposób zaczęła się w całym kraju wielka reforma szkolnictwa podstawowego. A że reformę rozłożono na lat pięć, 10-letni Marek znalazł się w pierwszej linii tej reformy, która będzie mu towarzyszyła już do końca — tyle że koniec nie nastąpi już w siódmej, jak u starszej siostry, ale w ósmej klasie.

Oczywiście ani Marek, ani jego koledzy nie zdają sobie sprawy, ile kłopotów, ile pracy kryje się za słowem „reforma szkolnictwa”. Ale muszą sobie z tego zdawać sprawę nie tylko nauczyciele, nie tylko pracowni-

cy administracji szkolnej, lecz i całe społeczeństwo, bez którego udziału — wbrew pozorom — cała sprawa ma niewiele szans na realizację. Przeprowadzenie bowiem reformy uzależnione jest od trzech czynników: 1) nowych programów i wydania na czas odpowiedniej ilości podręczników, 2) przygotowania kadr nauczycielskich, 3) wybudowania odpowiedniej ilości nowych szkół.

Jak się okazuje, największą trudnością w województwie lubelskim jest zapewnienie odpowiedniej ilości szkół. W języku urzędowym tłumaczy się to na niezbyt piękne wyrażenie „izb lekcyjnych”. I chyba trzeba to od razu jasno powiedzieć: w obecnym układzie, w układzie podjętych już decyzji, Lubelszczyzna jako całość nie będzie mogła zapewnić realizacji powszechnej reformy szkolnej. Zabraknie ok. 1.000 izb

(Dokończenie na stronie 12)

(Dokończenie na str. 13)

(Dokończenie na str. 3)

POWSTANIE STYCZNIOWE

Wystawa

FRANCISZEK CIESLAK

Zorganizowana z inicjatywy Wojewódzkiego Archiwum Państwowego w Lublinie i Biblioteki Głównej UMCS wystawa o powstaniu styczniowym przyjęła za punkt wyjścia przesłanie, że doniosłe i dramatyczne wydarzenia sprzed 100 lat są w istocie rzeczy mało znane w szczegółach szerokiej ogółowi społeczeństwa. O ile bowiem istnieje jeszcze lepsza znajomość niektórych postaci z powstania, zwłaszcza dyktatorów Mierosławskiego, Langiewicza i Traugutta, o tyle sylwetki bohaterów przywódców Komitetu Centralnego Narodowego i władz powstańczych oraz nazwiska wielu odważnych i świetnych dowódców oddziałów powstańczych są w większości znane tylko w gronie specjalistów.

A przecież historia powstania styczniowego, obok dzieł militarnych i związanych z nimi dowódców, obfituje w równy stopniu w momenty ścierania się i walki poglądów na kwestie społeczne, w momenty walki o społeczne wyzwolenie. Pod tym względem pokolenie wychowane na twórczości Stefana Żeromskiego może często posiadać skrzywiony obraz dramatu sprzed 100 lat i niewłaściwie ocenić postawę chłopów w powstaniu.

Dopiero nauka historyczna w Polsce Ludowej, obok pogłębienia znajomości faktów militarnych, wydożyła i ocenila w sposób właściwy radykalny program społeczny lewicowy powstania — obozu „CZERWONYCH”, podkreśliła udział mas ludowych — chłopów i biedoty miejskiej w powstaniu, zwróciła również uwagę na więź i współpracę powstańców z rewolucyjnym ruchem demokratów rosyjskich — Hercenem, Czernyszewskim i Ogariem. Te trzy elementy: patriotyzm i bohaterstwo powstańców, postępowy program społeczny zawarty w manifestach i dekretach uwłaszczeniowych Komitetu Centralnego Narodowego oraz współpraca z antycarskim ruchem rewolucjonistów rosyjskich, należą niewątpliwie do najbardziej bliskich i drogich nam tradycji powstania styczniowego.

Nie mniej ważną sprawą, która zresztą znalazła podkreślenie zarówno w samym tytule wystawy, jak też i w ekspozycji, było pojęcie znajomości udziału Lubelszczyzny w powstaniu. Pod pojęciem Lubelszczyzny należy tu rozumieć teren ówczesnej guberni lubelskiej, w nomenklaturze powstańczej zaś dwa województwa: lubelskie i podlaskie z Garwo linem, Siedzicami, Sokołowem i Węgrowem włącznie. Na tym terenie z ósrodkiem w Lublinie, w latach 1861—1862 rozwinął się żywiołowy ruch manifestacji patriotycznych i obchodów rocznic narodowych — ruch o nateżeniu dorównującym Warszawie. Przdowała w manifestacjach młodzież szkolna, rzemieślnicza i inteligentka Lublina. Na tym terenie w latach 1861—1862 doszło również do ostrych wystąpień chłopów, którzy z nieapetykany gdzie indziej uporem i determinacją upomnieli się o swoje prawa i odmówili świadczeń na rzecz dworu.

Jeśli idzie o przygotowania organizacji spiskowej, należy koniecznie przypomnieć postać młodego i wielkiego zapaleńca sprawy narodowej Leona Frankowskiego, który jako komisarz województwa lubelskiego, po udanych utarczkach w Kurowie, skoncentrował znaczne oddziały w okolicy Kazimierza nad Wisłą, ogłaszając tam Rząd Narodowy. Następnie wzięty do niewoli pod Siupezą, został stracony w Lublinie 16 czerwca 1863 r. Działal tu młody i odważny szermierz sprawy narodowej Roman Rogiński — komisarz województwa podlaskiego, który z oddziałem powstańców opowiadał Białą Podlaskę i ogłosił również Rząd Narodowy. Następnie potykając się z wojskami gen. Nostitza pod Białką i Siemiatyczami dostał się niebawem do niewoli i był wywieziony w głąb Rosji.

W noc styczniową z 22 na 23, która w zamiarach powstańców miała przynieść opanowanie garnizonów rosyjskich w miastach, na 18 walk w całym Królestwie Polskim, w województwie lubelskim i podlaskim powstańcy zaatakowali w sześciu punktach: Lu-

bartowie, Bukowie Małe, Rażyzniu, Łukowie, Kodniu i Stoku Łackim, nie licząc walk w Łomazach i Kurowie, które miały miejsce zaraz w następnych dniach. Równocześnie w wielu wsiach lubelskich przedstawiciele Rządu Narodowego ogłosili zebraniemu chłopom dekrety uwłaszczeniowe i przystąpili do szerokiego werbowania chłopów w szeregi powstańcze. Na wystawie pokazano dokumenty świadczące o tym, że wprowadzenie w życie dekretów uwłaszczeniowych nastąpiło m.in. w Lubkach (obecnie powiat bełżycki), gminie Kamień (obecnie powiat opolski), Bohułowicach (powiat białski), Białopolu, Strzelcach i Radborowicach (powiat hrubieszowski).

Mężnie walczyli i zginęli na tym terenie świetni dowódcy oddziałów powstańczych Michał Heidenreich (pseudonim Kruk), znany ze zwycięskiej bitwy pod Żyrzynem i Klęską pod Fajslawicami, Walenty Lewandowski — naczelnik cywilny województwa podlaskiego, znany z bitwy pod Stokiem Łackim, Gustaw Zakrzewski — dowódca ataku na garnizon w Łukowie. Zginął w bitwie pod Józefowem Ordynackim poeta Mieczysław Romanowski, walczył mężnie Marcin Borełowski-Leleweł, który zginął w bitwie pod Batorzem, walczyli Józef Rucki, Karol Krysiński, Józef Jankowski, Józef Matliński-Sokół, Antoni Jeziorański i wielu innych. Walczył tu również z oddziałem w przeważającym stopniu chłopskim ks. Stanisław Brzóska, który już po upadku powstania, w walce pod Sypytkami-Krasnodębami ranny dostał się do niewoli, następnie ze swym adiutantem Wilczyńskim został stracony w Sokołowie Podlaskim. Walczyli tu także oddziały chłopskie Józefa Flisa z Zofiarki i Jakuba Prężyny ze wsi Pikule gm. Krzemień.

Należy również podkreślić liczny udział rewolucjonistów rosyjskich w szeregach powstańczych. Na wystawie pokazano kilkanaście stron rozkazów o rozstrzelaniu żołnierzy rosyjskich, którzy idąc w ślady bohaterów Andrzeja Potiebnia, Jana Arnholdta i Piotra Sliwickiego, zginęli w walce „za naszą i waszą wolność”.

Na Lubelszczyźnie walczył wreszcie bohaterki dowódca Walery Wróblewski, który po ostatniej potyczce w styczniu 1864 r. koło Uściłowa, wy-dostawszy się na emigrację, był wraz z Jarosławem Dąbrowskim współorganizatorem I Międzynarodówki Socjalistycznej.

Tych wszystkich bohaterów sprawy narodowej oraz liczne bitwy i potyczki na tym terenie pokazano i przypomniano na wystawie, umieszczając wydarzenia w szerokim kontekście historycznym, z uwzględnieniem sytuacji społeczno-politycznej w latach 1861—1862.

Jeśli idzie o materiał do ekspozycji, organizatorzy sięgnęli przede wszystkim do bogatych zasobów Wojewódzkiego Archiwum Państwowego. Zgrupowane w serii setki raportów urzędowych ówczesnych wójtów gmin, burmistrzów, naczelników powiatów i gubernatora, ilustrują niezmiernie dokładnie walkę i przebieg poszczególnych walk w powstaniu. Bogate zasoby Biblioteki Głównej UMCS posłużyły do wydobycia materiałów ilustracyjnych, prasy powstańczej, publikacji naukowych i literatury. Wykorzystano nadto nie publikowane i publikowane pamiętniki powstańców oraz materiały uzupełniające z Archiwum Głównego Akt Dawnych w Warszawie. Wypożyczone z Muzeum Wojska Pol-



Karol Krysiński
bohaterki dowódca
oddziałów powstańczych

skiego ekspozycji broni powstańczej uzupełniają materiał ilustracyjny część ekspozycji i sprzęt użyty w Muzeum Lubelskim.

Oczywiście do wszystkich materiałów trzeba było odnieść się krytycznie i przeprowadzić selekcję. M. i opracowano na nowo wielką mapę bitew i potyczek w powstaniu na terenie woj. lubelskiego i podlaskiego, bowiem praca Zielińskiego (Bitwy i potyczki) zawierała liczne błędności i opuszczenia. Mapa stała się nowym centralnym punktem wystawy i jej syntezą. Całość podzielono na kilka zagadnień, ilustrowanych przy pomocy źródeł (oryginały i fotokopie) oraz reprodukcji malarskich, prasy i publikacji naukowych.

Otwarta w 100 rocznicę powstania styczniowego wystawa podkreśla wielki udział w walkach i bohaterstwie Lubelszczyzny, przypomina i przybliża do współczesnego widza radykalny program społeczny lewicowy powstania oraz współpracę z rewolucyjnym ruchem demokratów rosyjskich. Zwraca również uwagę na międzynarodowe znaczenie powstania w związku z utworzeniem I Międzynarodówki przychylnym stanowiskiem Marksa i Engelsa w sprawie polskiej. Niewątpliwie nasze społeczeństwo, zwłaszcza młodzież starsza i szkoły średniej i uniwersytecka, może poznać prawdę o Lubelszczyźnie powstaniu styczniowym.

Wystawa otwarta w salach CBY przy ul. Narutowicza 4 będzie czynna do 20 lutego 1963 r.



Mogila powstańców z r. 1863 pod Rażyzniem

BIBLIOTEKI w środowisku wiejskim*

MARIA GAWARECKA

BIBLIOTEKI na terenie wsi mają już za sobą długą historię. Organizowanie ich rozpoczęło się jeszcze w roku 1949 w oparciu o ówczesny podział administracyjny. Z czasem biblioteki gminne przekształciły się w biblioteki gromadzkie, a ich sieć, licząca obecnie ponad 400 placówek, objęła teren całego województwa.

Biblioteki gromadzkie, jak wiemy, wchodzi w sieć publicznych bibliotek powszechnych, która sięga od gromad poprzez powiaty do województwa. Jest ona niewątpliwie gwarancją siły organizacyjnej bibliotek i możliwości prowadzenia konsekwentnej polityki czytelniczej. Nie umniejsza to jednak działania własnego każdej placówki, w powiązaniu z jej środowiskiem.

Cały system doskonalenia bibliotekarzy w województwie lubelskim od lat już idzie w kierunku rozszerzania horyzontów umysłowych bibliotekarzy, rozwijania umie-

jętności współpracy i współdziałania oraz gotowości służenia pomocą swemu środowisku.

Można już w tej chwili wliczyć kilkadziesiąt bibliotek wiejskich, których działalność jest nierozdzielnie związana z nurtem życia wsi. Te, które zdawałyby się, że stoją na uboczu, mają swój potencjał w zasobach książkowych i w każdej chwili mogą służyć społeczeństwu.

Toteż nie można mówić o wyizolowanym stanowisku bibliotek w wsi. Można raczej sprawę tę odwrócić. To środowisko często jest bierno i obojętne, a instytucje oświatowo-kulturalne nie przejawiają zbytniego zainteresowania biblioteką jako swoim współpartnerem w działalności kulturalno-oświatowej. Biblioteka spotyka się nieraz z pewnym lekceważeniem ze strony instytucji kulturalno-oświatowych, na co wpływa niewątpliwie i niski często poziom ogólny bibliotekarzy, jego młody wiek i mało doświadczenie. Opieki i pomocy ze strony placówek o większym autorytecie bibliotekarzy taki nieestety nie otrzymuje.

A do pokonania ma on wiele, może nawet więcej trudności, niż inne placówki oświatowo-kulturalne. Jest rzecznikiem książki w życiu środowiska, rzecznikiem narzędzia, które wiąże się z pracą niewątpliwie niełatwą, bo intelektualną, niezależnie od rodzaju danej literatury. Nie możemy nie zauważyć i tego, że jakiegoś kadry się poprawia i że mamy wielu bibliotekarzy z wykształceniem średnim oraz dużym doświadczeniem społecznym, którzy odgrywają poważną rolę w swoim środowisku (np. w Przewlece — powiat parczewski, w Melgwi — powiat lubelski, w Leszkowicach — powiat lubartowski, w Krasiczynie — powiat krasiński, w Wilkowie — powiat opolski).

Warto również przypomnieć, że na terenie województwa lubelskiego są bibliotekarze o wykształceniu podstawowym, którzy dokonują wysiłku wyjątkowego, żeby sprostać potrzebom społecznym i umysłowym środowiska i stworzyć ze

swojej placówki ośrodek żywy i czynny dla szerokiego kręgu ludzi.

Tak jest w Modliborzycach, Ostrzyżyc, Soli, Zakrzów, Jarosławcu, Tomaszowicach, Krczniczy Okrągłej, Sławczach, Gorzkowie, Firleju, Niemcach, Trzebieszowie, Chnowie, Serńkach, Rzędzicy i wielu, wielu innych.

Warto też przypomnieć, że biblioteki, nie instytucjami dostarczającymi tylko literatury rozrywkowej. Już od dawna przodzą propaganda na rzecz literatury popularno-naukowej wzrosła się w 1959 roku, co wyraziło się w zwiększeniu zapotrzebowania bibliotek w tego rodzaju wydawnictwa i zwiększoną ilością wypożyczeń.

W okresie czterech pierwszych miesięcy 1962 r. wyczerpała literatury popularno-naukowej wzrosło o blisko 100 proc. w porównaniu z analogicznym okresem 1960 r.

Cyfrowo przedstawia się to następująco:

Lata	Wypożyczenia ogółem	w tym wypoż. lit. pop.-naukowej
1959	2.586.728	158.257 (6,1%)
1960	3.106.246	227.931 (7,3%)
1961	3.381.428	205.973 (6,1%)
I, II, III, IV miesiące 1962 r.	1.328.010	128.362 (9,7%)

Największe osiągnięcia uzyskały powiaty: lubelski — 13,9 proc. (co siódma książka wypożyczona literatura popularno-naukowa), puławski — 19,3 proc. (co dziesiąta książka wypożyczona literatura popularno-naukowa).

W powiecie lubartowskim popyt na literaturę popularno-naukową w porównaniu z r. 1960 wzrosła o 72,6 proc. Powolne wstawanie popytu na literaturę popularno-naukową — to ciekawe zjawisko i dla socjologów, i dla

(Dokończenie na str. 9)

* W związku z tym artykułem v. nr 22 „Kamień” z r. 1962 artykuł z-cy kier. Wydziału Kultury PWRN w Lublinie, Stanisława Kozłowskiego „Biblioteki wiejskie na start” (red.).

EPIGONIZM TRAGICZNY

pukłością wśród krzewów, kryje w sobie prochy żołnierzy oddziału Lelewa-Borelowskiego.

Według trudnej dla sprawdzenia dziś wersji złożono tu również ciało Mieczysława Romanowskiego, poległego w bitwie pod Józefowem w dniu 24 kwietnia 1863 roku.

Tekst popularnej piosenki żołnierskiej „Co tam marzy o kochaniu” nieczęsto kojarzy się z nazwiskiem poety a jeszcze rzadziej z faktem, iż życie to było jak owa pieśń.

Nad młodzieżą literacką pokolenia Romanowskiego (1834—1863) ciążyła całą mocą „siła fatalna” poezji wieszczów. Literatura ma być nadal służebniczą sprawą narodowej. Wyznacza się jej ta sama funkcja nauczyciela, moralizatora, agitatora.

Wpływ wielkiej poezji romantycznej jest tak wielki, że młodzi muszą przyjąć nie tylko zasadnicze założenia ideowe zdeterminowane niezmiennymi warunkami politycznymi, ale również zaakceptować romantyczne konwencje estetyczne, które nosiły znamiona geniuszu ich twórców. Stąd nieunikniony epigonizm twórczości Romanowskiego i jego pokolenia. Tak widoczny a jednocześnie tak usprawiedliwiony.

Powszechnie uważa się za największe osiągnięcie poety poemat epicki „Dziewczę z Sącza”, który zajmuje dostojną odrębną pozycję w jego twórczości. Próbuje także sił w dramacie, przy czym „Popiel i Piast” zdradza całkiem niepoślednie ambicje w tej dziedzinie. Najmniej udane są niewątpliwie próby powieściowe.

Najpełniej wypowiedział się w tych formach literackich, którym epoka wyznaczyła szczególną funkcję w realizowaniu jej postulatów ideowych, a więc w gawędzie i lirycie patriotycznej.

W gawędzie, która w jego twórczości jest gatunkiem formalnie kompilacyjnym i zdradza wyraźne powinowactwo z powieścią poetycką, a nawet z balladą, sięga Romanowski do dalszej lub bliższej przeszłości, która w jego przekonaniu winna inspirować przyszłość.

Do historii odwoływano się zawsze w okresach kryzysów politycznych i moralnych, a ta interweniowała wówczas całym bogactwem pomnikowych wydarzeń, z których czas usuwał małość i zwykłość pozostawiając, najczęściej w konwencjonalnych stylizacjach, to co wydawało się wielkie i nieprzemijające.

Sięganie więc Romanowski do historii po swoje kreacje literackie i przywoła z niej postaci bohaterkie, ofiarne, które można by ukazać współczesnym jako wzory godne naśladowania, jako egzemplifikacje postulowanych założeń ideowych.

Jeśli bowiem gawęda jest tylko uprzykładowaniem idei walki i ofiary, to liryka patriotyczna ma charakter zdecydowanie deklaracyjny. Apostroficzna forma tej poezji ustala jej funkcję społeczną, żarliwa zaś postulatowość zdradza niecierpliwość pokolenia, które za wszelką cenę pragnie realizować idee epoki.

Stąd też owa obsesyjna potrzeba czynu, tak charakterystyczna dla ostatniego okresu mistrzów.

Potrzeba ofiar, walki, nawet bez szans powodzenia, determinowała poczynania pokolenia Romanowskiego.

„Przekonany jestem, że każda rodzina musi dać w pewnym przebiegu czasu kilka ofiar na ołtarzu społecznym. Z rodziny Romanowskich, o ile wiem, dawno takiej ofiary nie było i może mnie los wybrał na taką ofiarę; jeśli tak, niech się spełni jego wola”.

Zadziwiająca teoria, która potrzebę permanentnej ofiary podnosi do rzędu obowiązku obywatelskiego, ustala stały haracz, przyjęty dobrowolnie za grzech upadku.

Obok wyżej wspomnianych motywów była w tym także potrzeba ekspiacji nieobecnej postępowej części społeczeństwa wsielskiego, jak i jeden z wariantów myśli mesjanistycznej. Taka zaś postawa ustala szczególne kryteria wartości. Pózwolenie staje się naczelną cnotą.

„Szczęść mi, która w pierze / ponad wszystko stała / Szczęść zachęca”

„Cicha lecz najpikniejsza / młodej duszy siłowa / Polowiczanie”

„Oby i prawdy, i miły”

Dominującym wątkiem tematycznym w lirycie Romanowskiego jest oczekiwanie na „burzę”-walkę, walkę o nie, wypatrywanie czujne wszelkich znaków, które zwiastowałyby jej nadejście.

I w tym wypadku powołuje się na swoich wielkich poprzedników, którzy ją przecież zapowiadali.

Deklarując niejednokrotnie rozsądek i realizm polityczny, uznaje konieczność walki nawet bez szans powodzenia, jeśli ma ona służyć regeneracji narodu, jeśli ma być świadectwem jego prawa do niepodległości.



MIECZYŚLAW ROMANOWSKI
1834—1863

Swój ideowy program, przynajmniej jeśli chodzi o stosunek do czynu zbrojnego, sprecyzował już dwudziestoletni poeta w wierszu „Cisza” (1854).

Szalenie, kto zaraz po burzy / chce burzę / Bo w sercu swym własnym / utopiłby nóż / Lecz kiedy słowar kłóty / [do grobu już nagnie / To chyba dziecina / [piorunów nie pragnie

W zależności od sytuacji politycznej, od bodźców zewnętrznych, wzmagają się ładunek treści emocjonalnych, aby od pamiętnych wydarzeń warszawskich w 61 roku zażrzeć pobudką bojową („Pieśń młodej wiary”, 1861):

W górę serca! Świat się pali, / Sady boże głosi dzwon, / Próchno zbrodni w gruz się wali, / W gruz przemocy leci tron.

Kto poległ, temu sława / Za spełniony syna ślub, / Kto się zleknie — hańba krwawa, / Hańba i bezczesny grób, / Idźmy!

Obok motywu „burzy”-walki nie mniej charakterystyczny dla twórczości Romanowskiego jest motyw śmierci na polu walki. Przewija się on w różnych tonacjach uczuciowych przez całą jego twórczość. Nie można go traktować jedynie jako wyrazu młodzieńczej egzaltacji. Jest on logiczną konsekwencją postawy ideowej poety, potrzebą zadokumentowania wierności ideałom uznanym i głoszonym, potrzebą zatarcia granicy między poezją i życiem.

Jam ptak — od Boga szablę mam / [na wroga; / Maie walczuć, — w walce — / [patrzeć w stronę — gwałt / [wrota o czo, i miły

Szczerość tych wypowiedzi potwierdza ostatecznie w potrzebie „husarskiej”.

Romanowski tworzy w konwencjach formalnych romantyzmu. Przekłada raz jeszcze na język poetycki postulat ideowy epoki w sposób mało oryginalny, ale sugestywny, przy pomocy środków artystycznych zapożyczonych z bogatego arsenalu swoich wielkich poprzedników.

Świadectwa współczesnych mówią o dużej popularności jego wierszy w środowisku lwowskim.

Patos, retoryka romantyczna, komunikatywność, a przede wszystkim nieklamana żarliwość, jedyną jego poezji liczących wielbicieli.

Zależność Romanowskiego i jego pokolenia od wielkiej poezji romantycznej

cia poety, znaleźliśmy jego niedokończony studium o „Jakubie Jasińskim”.

To zainteresowanie poety czystym przedstawicielem polskich „jakobinów” rzuca nieco inne światło na autora „Trzech sztandarów” (wiersz zdradzający wyraźne tendencje solidarystyczne). Ta publikacja, jakkolwiek nie wolna od skłonności do idealistycznego interpretowania dzieł óleższych, mówi przecież na jakich przykładach historii poczęła się kształtować postawa ideowa poety.

„Błada narodów! — czytamy w niej — błada tej kaście, jeśli się wcześniej nie przeświadczy, że czas jej minął, lub jeśli mimo przeświadczenia o tym, uniesiona egoistycznymi zachciankami, zapragnie dalej rządzić dojeżdżającym narodem według zasad, które już czas pokruszył”.

Zarówno cytowany wyżej szkic biograficzny o Jakubie Jasińskim, jak i wcześniejsza (1861) rozprawka o Legionach, świadczą, że poeta był na właściwej drodze do poznania dialektyki dzieł.

W bitwie pod Józefowem spełniło się niestety to, przeczuła poety, po którym nie już więcej spełnić się nie może.

20 lat życia to nie jest wiele. A jednak starczyło, żeby Romanowski stał się jednym z najbardziej reprezentatywnych przedstawicieli tego tragicznego pokolenia.

Związany ściśle z lwowskim środowiskiem literackim, przez swą śmierć w walce pod Józefowem wszedł na trwałe do tradycji powstańczej Ziemi Lubelskiej.

Porozmawiajmy z ludźmi z okolic Józefowa, a przekonamy się, jak wiele potrafią o nim powiedzieć. Nie będzie chyba przesadą stwierdzenie, że to właśnie owa tradycja, w której szczególne miejsce zajmuje postać poety, inspirowała w jakimś stopniu poczynania tych ludzi w okresie okupacji.

Zbliżająca się setna rocznica jego śmierci winna stanowić w ramach obchodów rocznicy styczniowej okazję do przypomnienia poety-powstańca, nad którego mogiła od dawna nikt się na dłużej nie zatrzymał.

Konrad Bartoszewski

Listy o poezji (16)

Co rok - przełom

ANNA KAMIENSKA

— Co jest pierwszym obowiązkiem krytyka poezji? —
— Lubić poezję.

JEDNYM z najbardziej żalonych działów naszego piśmiennictwa cierpiącym na uwład jest krytyka poetycka. Można by wymienić kilka przyczyn tego stanu rzeczy. Czy nie ma zbyt wielu, inteligentnych, wykształconych i błyskotliwych krytyków? Na, ale cechują ich wybitna awersja do pisania. Jedni sparyżli się na tym, że zbyt dobrze wiedzieli, czego chcieli. Sparyżli się na krytyce postulatowej. Poeci zaś nie lubią chodzić tam, gdzie podoba się krytykom. Inni zniechęcili się niewiarygodną istotnie drażliwością na krytykę, jaką przejawia środowisko poetów. Niecierpienie w artykule tego lub innego nazwiska jest często krytykom poczytane za brodną. Zresztą nie trudzą się i przesadnie wymieniają tylko kilka niezawodnych nazwisk.

Niktóżby krytycy znów nadygnają się z czasem pycha stwórca wiekosa, niż poeci, o których mowa. Jeśli krytyka poetów — to chyba sądzają się w hierarchii literackiej ponad nami. Ponadto tkwią w swoich ulubionych rejonach poezji francuskiej lub angielskiej — nie czytają tego, co pisze się u nas. Po prostu nie orientują się w trudnościach poetów żyjących w Polsce. Poeci bynajmniej zwabiłi, nie zwabiłi krytyków przeważnie wszelkie inne literackie środowiska i jest pod względem kulturalnym mało polityczny. Bo przecież istnieją i polityczne środowiska. Jest wreszcie również zwabiłi na „polskość”. Są niestety odrażający w poezji wulgarna, co trafi „michodem”, „realizacji”, „acholizacji”, „lirycznym wierszem”, wreszcie, co nie przypominając Pola lub Asnyka. Ten zwabiłi „zwabił” jest mojej opinii, gdyż bynajmniej nie jest rzadkich oryginałów.

Całość słowa

TADEUSZ KŁAK

WIEK dwudziesty obdarzył nas wielu świetnymi poetami, ale tylko trzech — Leśmian, Przybosa i Różewicz — otwierali całkiem nowe możliwości wypowiedzenia lirycznego wrzucenia. Myślę o ambicji tworzenia nowego języka poetyckiego. I można powiedzieć, że każdy z nich, w najlepszych osiągnięciach, uzyskał spełnienie zamysłu całkowite, jeśli to jest w ogóle możliwe. Nawet liryka Czechowicza, notując to ze smutkiem, jako całość nie ma tej jednolitości i konsekwencji, co twórczość Przybosa. Napisawszy te słowa uświadomiłem sobie, że sąsiadstwo tych nazwisk nie jest przypadkowe. Byli niemal rówieśnikami, Czechowicz tylko o dwa lata młodszy. W drugiej połowie dwudziestolecia oni rywalizowali o prymat w polskiej awangardzie, a tuż przed wojną Czechowicz uznawany był bez zastrzeżeń za przywódcę poetyckiego swego pokolenia.

Natomiast dziś nie ulega wątpliwości, że właśnie liryka Przybosa najlepiej spełniła program awangardowy. Wielu krytyków (Wyka, Sandauer, Błński, Prokop) opisało i zdefiniowało istotę poetyki Przybosa i wydawało się, że wiersze tego poety nie spowodują już nowych refleksji. Losy wydzanych przed paru laty Poezji zebranych mogłyby o tym świadczyć. Tom ten sumował cały dorobek Przybosa i prowokował niemal potrzebę nowego z nim obrachunku. To jednak nie nastąpiło.

Przybosa należy jednak do twórców upartych. Po tamtych tomie przyszła znów Próba całości, a teraz Więcej o Manifest^{*)}. Sądzę, że właśnie ten zbiór wywołuje potrzebę nowego spojrzenia na zjawisko poetyckie znaczone nazwiskiem Juliana Przybosa. Nie chcę przez to powiedzieć, że poeta przeszedł tu swoje poprzednie osiągnięcia, wydaje się to niemal niemożliwe. Ale z całą pewnością otwiera w tym kierunku drogę.

Jakież jest więc novum zboru Więcej o Manifest? Identyczna z przedwojenną twórczością poety jest tu tylko nieustanna, wytrwała wola innego nazywania rzeczy. Precyzyja wyrazu, przyległość słowa i rzeczy były nie tylko założeniem, ale zostały uwierzytelnione licznymi dokonaniem. Zresztą taka była myśl poety: „wrażać wyrażalnie”, „najmniej

*) Julian Przybosa: Więcej o Manifest, Warszawa 1962, LSW. Opracowanie graficzne: Danuta Kuta-Przybosa.

słów”. Ale praktyka dawnych wierszy, bliższa była pelperowskiemu teoriom utonającym język poetycki z metaforą, postulującym „pseudonimowanie” i „ekwiwalentyżację” uczuć w miejsce ich nazywania. Język poetycki wymagał więc pewnego wjaśnienia, a przez swą nowość i odmienność od mowy potocznej nabierał jakiejś odwołalności. Cóż z tego pozostało? Zajrzyjmy do ostatniego zbiorku:

*Chmury — sekunda słońca — chmury,
[ale ja w tym
mgiełku oka pogody
nie zdążyłem — a już
w maju
w sześćdziesiątym moim maju
bieżącym na rękawie roku
nie mniej, śmieszniej, dożywczo
[młody
jakbym spadł z obłoków(…)]
(Włosna 1961).*

A dalej w tym wierszu mamy takie powiedzenia, jak: „wyłamać się z więzienia karnego mieszkanka”, „wyskokczyć z okna”, „wariackie paplery”, „z mokrą głową(…) szukać wiatru w polu” itd. Te przykłady, a pozostałe wiersze zawierają ich dostateczną ilość, pozwalają zauważyć skłonność poety do słów i zwrotów zwykłych, potocznych, żeby nie powiedzieć — stereotypowych. U poety, ważące słowo tak jak Przybosa, to jest znamienne. Dawna troska o bezwzględna nowość słowa i zdania, dawna wynalazczość ustępują teraz innej. Obecnie poeta powraca do źródeł, do mowy codziennej, niekiedy skostniałej i tę zwykłą mowę, te zwroty i stereotypy językowe rozbił przez ustawienie ich w nowym kontekście. Dokonuje się ich kanonizacja. Słowa stare jaśnieją wtedy nowym blaskiem, przemawia wszystkim znaczeniami: dawnymi i nowymi, proza nabiera waloru poezji. Nie mówię przez to, że wszystkie te metamorfozy mają u Przybosa wartość najwyższych osiągnięć artystycznych, notując tylko kierunek przemiany. W te same strony prowadzi i wiersz tytułowy Więcej o Manifest. Prawdę mówiąc każdy terazniejszy utwór Przybosa ma rangę manifestu, jest próbą definiowania poezji, siebie, warsztatu, świata. Bardziej niż kiedyś poeta pragnie, by Poezja obejmowała Wszystko, by osiągnęła Doskonałość. Te nieosiągalne zamierzenia świadczą o dożywczości młodości autora. Nawiasem mówiąc, problem młodości, starości, wpływa czasu, to jedna z obecnych obsesji poety. Próbą przezwyciężenia tych spraw wydają się utwory eksploatujące świat pojęć i języka dziecka, np. znakomity z poprzedniego tomu Telefon dwuletniej Uty. Utwory tego rodzaju poszerzają też teren doświadczeń poetyckich. Bo Przybosa nadal absorbuje sprawę słowa, jego pojemności. Świadomość jego ograniczonej nośności nie przeszkadza zupełnie maksymalistycznym zamierzeniom poety, żeby ze słowa wyprowadzić wszystkie moż-

O JULIUSZU KLEINERZE

„Nie znałem Lublina w czasach przedwojennych; w przejazdach do Warszawy oglądałem go tylko pobieżnie. Teraz pokochałem to miasto, które mi dało nową epokę życia, które stało się dla mnie, pomimo że do sześćdziesiątki się zbliżał, miastem drugie (mojej młodości)”. Te słowa umieszczone kiedyś przez Juliusza Kleinera w „Kamieniu” usprawiedliwiają wydanie dzieła, które przyjęto miłośnikom, a które powinno być wydaniem dla paru powodów. Tak się stało, że Juliusz Kleiner związał się przez lat parę ze środowiskiem lubelskim. Był obecny przy podnoszeniu kultury polskiej z gruzów wojennych. Patronował życiu literackiemu i kulturalnemu Lublina, sprawując funkcję prezesa Lubelskiego Oddziału ZLP i Klubu Literackiego, a przede wszystkim wykladał literaturę polską na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. Wykłady jego gromadziły w auli tłumy słuchaczy, zafascynowanych niezwykłą erudycją, pięknym słowem, szerokością horyzontów, żywą myślą. Te emocje słuchaczy zajęły wiele miejsca we wspomnieniach o Juliuszu Kleinerze, a i dziś stare pokolenie polonistów przekazuje prawdziwy mit o złotoustym profesorze.

Nie danym mi było słuchać wykładów prof. Kleinera, z tym większą chęcią czytałem księgę o jego życiu i twórczości^{*)}.

Jest w niej niemal wszystko, co być powinno. Są przemówienia Kleinera wygłoszone na poprzednich jego jubileuszach. Następnie Konrad Górski przedstawia dorobek Kleinera jako historyka literatury, Stefania Skwarczyńska omówiła jego dorobek w zakresie metodologii i teorii literatury, a Zofia Ciechanowska ukazała Kleinera jako neofilologa i komparatystę. Syntetyczną sylwetkę profesora Kleinera naskiciował Feliks Araszkiewicz, zaś dopełnienie pierwszej części książki stanowi praca Zofii Niemojewskiej-Gruszczyńskiej o krasomównie

*) Juliusz Kleiner. Księga zbiorowa o życiu i działalności Lublin 1961. Towarzystwo Naukowe KUL.

liwe konsekwencje. Zbiega się ten typ eksperymentu z tymi doświadczeniami poezji współczesnej, które prowadzi Miron Białoszewski.

Myśl poetycka Przybosa zachowuje nadal możliwość intelektualnej prowokacji, niezależnie od jej takiej czy innej oceny. Przykładem ostatnim — spory o Ode do turpistów. Tomik ostatni także ze własności posiada. Jest on potwierdzeniem tego, co wiemy o liryce Przybosa, ale i zaprzeczeniem. Waga tomiku zawiera się, oczywiście, w tym drugim.

niemy się martwić o charakter tego spodziewanego przelomu.

Z drugiej jednak strony zbyt częste „przełomy” literackie nie sprzyjają rozwojowi literatury. Nasza krytyka często wymyśla je po to, aby przyspieszyć tzw. bieg życia literackiego. Temu samemu celowi służą dorocznie niemal podsumowania, podczas gdy współczesności literackiej nie można mierzyć przecież ani jednym rokiem, ani nawet pięcioma latami.

W zjawisku częstych przelomów i zakrętów poetyckich kryje się istotne niebezpieczeństwo dla samej poezji.

Wiszące nad karkiem „przełomy” utrudniają normalny rozwój poetyckich talentów. Prowokują do wyskoków, do mizdrzenia się pod modę i snobizm krytyków, jeśli poeci nie mają dość odwagi, aby skazywać się na przemilczanie krytyki, na pozostawianie na uboczu poza literackimi koteriami. A przecież do tego trzeba chyba największej samozaparcia i odwagi.

W oczekiwaniu ciągle nowych przelomów — nie ceni się u nas dostatecznie osiągnięć, dojrzałości, dorobku, nie ceni się mniej efektywnego, ale rzetelnego trudu poetów uprawiających samotnie swoje poetyckie obszary.

Bo poezja jak każda sztuka wymaga uprawy, wymaga doświadczenia, zażyłości z językiem mówionym i zażyłości ze słownikami, wymaga codziennego niemal trudu, lektur, przemyslenia.

Doceniając te mniej efektowne, ale rzetelne trudy wielu poetów, narażam się ciągle pisząc o poezji na zarzut, że oceniam poezję zbyt łagodnie i liberalnie. Szukam osiągnięć i wartości. W każdym zjawisku poetyckim, w każdej książce. Jeśli znajduję te wartości,

Juliusza Kleinera oraz Jerzego Starnawskiego — Juliusz Kleiner — De-
dagog i dydaktyk. Wszystkie te prace — to niezwykle sumiennie opracowana summa o dziele wielkiego uczono-
go. Trzeba podkreślić w tym punkcie nowatorstwo tej książki: takiej pracy, takiej zbiorowej monografii nie otrzymał jeszcze żaden historyk literatury w Polsce. Ale też prawda, że dorobek Kleinera wyjątkowo na taką pracę zasługiwał.

Pozostała część książki wypełniają prace bardziej materiałowe i dokumentarne, choć nie mniej ważne i przydatne w lekturze. A więc najpełniej wspomnienia. Wybrane one zostały z książek, czasopism, części pisana za była na zaproszenie redaktorów książki. Wspomnienia należą do bardzo ciekawych fragmentów książki. Oglądamy postać Kleinera w jej pełnym przebiegu życia, od lat młodości do ostatnich dni. Barwnie i dokładnie przedstawiony został młodziński okres, lwowski, a to dzięki doskonałemu piórom jego ówczesnych koleżanów: Wasylewskiego i Lempickiego. Obfity we wspomnienia jest też okres powojenny, lubelski (M. Bęczczy-Rudnicka, Sawicki), okres lwowski (miedzywojenny) i ostatni — krakowski — omawia w obszernym i bardzo interesującym szkicu wieloletnia asystentka Kleinera — Janina Garbaczowska. W sumie wspomnienia te przynoszą wiele interesującego i żywego materiału, ukazują wielkiego uczonoego ze wszystkich stron, w pracy, w obcowaniu z ludźmi, nie pomijając nawet sympatycznych zresztą śmieszności.

Nieco zastrzeżeń budzi publikacja listów do Kleinera. To, co byłoby najciekawsze, nie przetrwało „epoki pieców”, a przecież listy sprzed pierwszej i drugiej wojny światowej byłyby bezcennym źródłem wiedzy o tamtych czasach. Wydawcy dysponowali tylko archiwum nowym, korespondencją lat ostatnich. Ale większość tej korespondencji ma charakter wystąpięć oficjalnych, uroczystych, często konwencjonalnych i grzecznościowych, nawet wypowiedzi przyjaciół z racji jubileuszu tracą niekiedy indywidualne piętno. Wydawcom chodziło o ukazanie Kleinera w oczach świata nauk, literatury i przyjaźni — także o ukazanie rozległych kontaktów profesora z „uczonymi, pisarzami, nauczycielami, uczniami itp.”. Tak, ale wydaje się, że ten sam cel dałoby się uzyskać przez publikację listów Kleinera do różnych ludzi i to byłoby materiałem wdzięczniejszym niż jubileuszowa korespondencja.

Należy jeszcze wspomnieć o dwu opracowaniach, których autorem jest

(Dokończenie na str. 10)

CO ROK — PRZEŁOM

(Dokończenie ze str. 3)

Krytycy gardzą współczesną poezją i poetami. Są poeci, których nazwiska znajdują się na prywatnym indeksie krytyków, ponieważ raz na zawsze urobili sobie o nich pogląd. Ci krytycy nie zainteresowałiby się poetą ze swego prywatnego indeksu, nawet gdyby mu się udało napisać arcydzieło.

Z drugiej strony klan poetów jest rzeczywiście tak nieprzystępny dla najmniejszego słowa krytyki, że zniechęca piszących o poezji. Wołają oni zajmować się prozą, zwłaszcza że jednak jest to o wiele łatwiejsze. Sami sobie winni. Genus irritabile vatum.

Poezja nasza, zła czy dobra, nieustannie niemal znajduje się w punkcie zwrotnym. Co dwa lata ogłasza się poetyckie przełomy. Co roku jest okazja do podsumowań i syntez. Pokolenia poetyckie następują po sobie coraz gęściej, nie przynosząc już może olśniewających nowością zjawisk, ale poetów na tzw. poziomie. Jest to najtrudniejsza dla krytyków sytuacja. Najtrudniejsza również dla poezji. Poezja nie zna i nie może znać żadnej „małej” czy dużej stabilizacji. Okrzepnięcie pewnego stylu w poezji oznacza skostnienie i zniechęca, oznacza zarówno w poezji całej, jak i w twórczo-

ści poszczególnych poetów — powielanie i kopiowanie siebie. Oznacza jednocześnie konieczność zmiany, konieczność przełomu. Gdy utrwalił się i został społecznie zaprobowany, przynajmniej przez pewne środowisko odbiorców — pewien wzorzec, styl poetycki — pojawiają się poeci tzw. kulturalni, od razu jakby uformowani i mądrzy cudzą mądrością, piszący gładko i poprawnie, „do druku” — według obowiązującego stylu i mody. Winięto do być dla krytyków i poetów sygnał alarmowy. W tym kierunku dalej iść nie można. Do tego punktu mniej więcej dotarł w tej chwili „awangardyzm”, wszystko, co przypomina nowatorstwo lat 20-tych i 30-tych w Polsce. Dlaczego? Bo pisać wiersze „awangardowe” w tej chwili jest zbyt łatwo. Niemal każdy kulturalni i czytający człowiek to potrafi. Potrafią to nawet uczniowie szkoły podstawowej. I dlatego trzeba szukać czegoś innego, trudniejszego. I znów w perspektywie — przełom. Jeszcze go nie widać. Znajdujemy się przed zakrętem i nie wiadomo, kto ten zakręt pierwszy weźmie, jak mówią sportowcy. Możemy również jeszcze długo dreptać w miejscu. Gorączkowe poszukiwania młodych, próby wyrwania się z tej matni poprzez stylizację tradycji takiej czy owakiej — nie dają na razie rezultatu.

I nie mogły dać rezultatu. Bo chodzi tu przecież nie tylko o styl i o sam kształt tej poezji, mimo że w poezji kształt jest niemal równoważny i równoznaczny z zawartością myślową.

Jeśli poezja nasza będzie miała coś do powiedzenia i będzie miała warunki swobodnego rozwoju — nie powin-

cenie je i podnoszę, bo wiem, z jakim trudem dochodzi się do nich. Uważam, że w poezji twórca trud poety jest wpisany w jego dzieło, w każdy wiersz, da się odczytać jako wartość niemożliwą artystyczną między innymi wierszami tak jak Norwidowe milczenie. Obawiam się poetów, którzy mają tzw. łatwość pisania, zbyt często idzie ona w parze z lekkomyślnością, z nieautentycznością poezji.

Aby ocenić poetę, trzeba znać przede wszystkim jego strony dodatnie, jego małe poetyckie wynalazki, rzetelność jego spraw, autentyczność jego pasji i obsesji. Szukam tych wartości nawet w nieporadności stylistycznej. Nie jest to obniżanie kryteriów ani taryfa ulgowa, ale przekonanie, że głębia wielkiej literatury, wielkiej poezji może być tylko ta prawdziwa, przetrwała i zdobywana w trudzie poezja „średnia”, wyznaczająca poziom świadomości artystycznej danego okresu literackiego.

Krytyków naszych oskarżalibyśmy jednak nie o to, że zbyt wielkie wymagania stawiają naszej poezji. Ona, nawet taka jaka jest, obroni się wobec innych literatur i innych okresów poezji polskiej. Oskarżalibyśmy ich natomiast o to, że krążą ciągle w zakletym kręgu kilku nazwisk, tworząc przysłowiową już kapliczkę. Nie mają odwagi wysuwać pewnych wartości, podkreślać, lansować, przeciwstawiać się modom i manierom. Proponować. A przede wszystkim znać, czytać i chociaż trochę lubić. Lubić poezję. Bo. Czy nie trzeba by od tego zaczynać? Ale teraz jest już za późno.

Anna Kamińska

Czas wolny?

JERZY GEMBICKI

PRZEZ pewien czas w tygodnikach i prasie codziennej zajmowano się dosyć wszechstronnie zagadnieniem wolnego czasu ludzi pracy w Polsce. Szczególnie interesująca wypadła ankieta „Nowej Kultury” i „Głosu Pracy” na ten temat. Odpowiedzi na tę ankietę napłynęło dużo i materiał w nich zawarty świadczył o doniosłości społecznej poruszanego problemu. Interesujące były zarówno te odpowiedzi, które dotyczyły „gospodarki” wolnym czasem pojedynczych osób, jak również i te informacje, które obrazowały wysiłki organizacyjne działaczy i pracę instytucji zajmujących się zbiorową formą spędzania wolnego czasu przez grupy zawodowe. W ogólnym podsumowaniu tych odpowiedzi można było znaleźć rzecz oczywista „blaski i cienie”, akcenty napawające optymizmem, jak i fakty budzące zaniepokojenie, jeśli idzie o możliwości i środki służące lu-

To prawda, że nie ma takiej ilości autobusów, które mogłyby dowozić na budowy wszystkich robotników budowlanych. Ale też prawdą jest, że gdyby nasze przedsiębiorstwa budowlane starały się kiedykolwiek o takie autobusy, to na pewno by je w mniejszej czy większej ilości otrzymały. Nie jest to jednak jedyny grzech kierownictw przedsiębiorstw budowlanych.

Oto w ubiegłych latach, w okresie nieliczenia się z państwowymi pieniędźmi, zakorzenił się zwyczaj budowania z pustaków małych, jednopiętrowych budynków, przeznaczonych na biura kierownika budowy. „Kamieniczki” te stoją przy każdej większej budowie jakby przepowiadając przedłużenie się nie rozpoczętych jeszcze robót.

W takim budyńeczku, obok pokoju biurowych na pierwszym piętrze, jest na parterze, a także, pokój dla robotników, przeznaczony na poczekalnię i jadalnię. Cóż to za ubogie są pokoje! Dwie ławy i stół zbitły przez budowlanego cieślę — to całe ich wyposażenie. Jeszcze piec żelazny w kącie, czasem afisz na ścianie... to wszystko.

Później, na naradach budowlanych podnosi się wielkie larum: — że brak robotników, że odchodzą z budów. Tylko pewne kierownictwo budowy siedzi milcząco...

Jest to kierownictwo z budowy nowych hal fabrycznych w Zakładach Przemysłu Gumowego w Dębicy. To kierownictwo nie narzeka na brak robotników. Ale też dla dębickich robotników budowa, i hotel robotniczy są drugim domem. Systematyczna zmiana bielizny pościelowej, firanki w oknach, własna orkiestra, gorąca kawa donoszona na miejsce pracy — jakże to niewiele, a jak dużo znaczy na co dzień.

Obok takich zakładów, gdzie hasło: „fabryka moim drugim domem” rodzi się samorzutnie, i obok takich, gdzie nie ma czasu, aby o tym hasle pomyśleć, jest jeszcze jedna grupa zakładów. W zakładach tych hasło: „fabryka moim drugim domem” jest na pokaz dla przyjeżdżających gości. Oto dla przykładu fabryka obrabiarek w Tarnobrzegu. Drogi wybielone, kwiatniki założone, ławki postawione. Ale w oczy bije czystość. Jaki tu porządek. Ale idźmy dalej. W halach też czysto. To prawda. Są czerwone proporce i aktualne hasła. To pięknie. Ale co to? Ci tryb robotnicy podnoszą w rękach kadłub obrabiarki. Jednemu zacerwieniła się twarz, drugi skrzywił z wysiłku usta, trzeciemu pot zrosił czoło...

Nie, nigdy nie powiem, że ta fabryka jest dla tych robotników drugim domem. Bo w domu zdarza się pracować w pocie czoła kilka razy w roku, a tu nazbyt często.

Kto słuchał uważnie referatu i wypowiedzi na V Kongresie Związków Zawodowych, ten byłoby w nich najgłęboko realizowane zagwarantowanych prawem zdobyczy społecznych. Zdobyły tych mamy wiele. Od nas tylko zależy, aby prawa społeczne nie pozostawały na papierze, aby zakłady pracy były dla nas drugim domem.

TEMAT wydaje się nowy. Ale nie jest. Swoją początek ma w tych dniach, kiedy robotnicy przystąpili do zabezpieczenia i organizowania przemysłu w roku 1944, w tak zwanej Polsce Lubelskiej. Wtedy ogólnym hasłem była odbudowa naszych fabryk i robotnicy szli do nich jak do swoich drugich domów. Nie pytali o płacę, często przynosili własne narzędzia, potrzebne do uruchomienia maszyn i reperatury budynków.

To był okres pionierskiej odbudowy. Później w latach planu sześciolatniego przystąpiliśmy do rozbudowy i budowy nowych fabryk. Wtedy to zaczęły się mnożyć prawa społeczne. Dla młodzieży i kobiet. Dla pracowników starszych i specjalnie przydatnych. Dla pracujących w nocy i w warunkach szkodliwych dla zdrowia. Dla pracujących w niedzielę i święta. Dla ojców. Dla matek. Dla dzieci pracowników. Mleko dla chemików. Herbata dla urzędników. Woda sodowa dla hutników. Stołówki dla chętnych. Wczasy dla wszystkich. Lekarze leczą. Usługują ogrodnicy, szewcy i krawcy...

Fabryka moim domem

JERZY POPOW

Stop! To miał być przykład, a nie temat. Przykład na taki rozwój zdobyczy społecznych, które z zakładów pracy tworzą drugi dom.

Po co więc hasło: fabryka moim drugim domem? A po to, aby te wszystkie prawa społeczne, jakie u nas obowiązują, były realizowane. Jak to się potocznie mówi, aby nie pozostawały na papierze. Faktem jest bowiem, że w naszym przemyśle przestrzegano się przede wszystkim tych norm prawnych o charakterze socjalnym, których omiatając pociąga za sobą sankcje karne. Z innymi zdobyciami bywa różnie. Dlatego nikt nie odmówi matce urlopu macierzyńskiego, ale też nikt nie postara się dla stojącej robotnicy taki stołek, na którym mogłaby wygodnie siedzieć, o buty zabezpieczające przed deformacją jej stopy, lub o ślim z bajeczki dla jej dziecka.

Sądzę, że ten przykład określa dość wyraźnie granicę biegnącą pomiędzy fabryką — zakładem pracy a fabryką — drugim domem pracownika. Toteż hasło: „fabryka moim drugim do-

mem” jest u nas nader aktualne. Mamym bowiem dużo fabryk. To prawda. Ale mało takich, o których można by powiedzieć: „mój drugi dom”.

Dlaczego tak jest? Jak wykazuje praktyka, najlepsze warunki socjalne stwarzają robotnikom nie fabryki najbogatsze, jak by się to mogło wydawać, lecz fabryki, w których procesy produkcyjne biegają bez zakłóceń i gdzie nie ma wątpliwości, że plan zostanie wykonany. W takich fabrykach jest po prostu czas na zastanowienie się co można zaledzie dać, zgodnie z istniejącymi możliwościami. Natomiast w fabrykach o zakłóconym toku produkcji, myśli się tylko o jednym: co robić, aby plan nadgonić, czego od załogi żądać.

Przykładem takiej sytuacji są dwie gałęzie przemysłu w województwie rzeszowskim: przemysł maszynowy i budownictwo. — W przemyśle maszynowym są takie zakłady, jak Wytwórnia Sprzętu Komunikacyjnego w Rzeszowie i Zakłady Metalowe w Nowej Dębicy, gdzie nieustannie myśli się o tym, jak z fabryki zrobić drugi dom dla robotników. W obu zakładach założono dla załogi sady owocowe, w obu zakładach, mając za zadanie ożywić kolorystycznie wnętrza fabryk, zorganizowano pracownie plastyczne, w obu zakładach są etatowi ogrodnicy, którzy dbają o zieleń przez cały rok.

W Nowej Dębicy wprowadzono w tym roku rozwojenie gorących posilków barowych do stanowisk pracy podczas przerwy śniadaniowej. W tym samym zakładzie nie tylko zajęto się malowaniem hal fabrycznych w kolorach zaproponowanych przez Instytut Organizacji Pracy, ale także urządono w hali fabrycznej sztuczny ogród z zielenią i kwiatami. Poza tym, na niektórych stanowiskach wprowadzono wygodne krzesła z ruchomym siedzeniem. Inspiratorem tych zmian był w dużym stopniu dyrektor fabryki. Nie dziwnego więc, że kiedy awansował i przeniesiony został do Fabryki Samochodów Ciężarowych w Lublinie, nie tylko hucznie go żegnano, ale pojechała z nim do Lublina delegacja Rady Robotniczej, aby „przekazać” swego dyrektora tamtejszej Radzie Robotniczej.

O takiej fabryce, jak w Nowej Dębicy, można więc powiedzieć, że staje się dla robotników drugim domem. Nie można tego powiedzieć niestety o większości przedsiębiorstw budowlanych, zarówno mieszkaniowych, jak i przemysłowych, w województwie rzeszowskim. Ogólnie znana jest na przykład pretensja robotników budowlanych, że przy dowozach do pracy traktuje się ich jak obywateli drugiej kategorii. Specjalnie podkreślają to robotnicy rozbudowujący kombinat siarkowy w Tarnobrzegu. Argumentują oni, że załoga kombinatu choć pracuje pod dachem, to dowożona jest w autobusach. Natomiast robotnicy budowlani przywożeni są w ciężarówkach.

REGIONY STARE I NOWE

FRANCISZEK KOTULA

WIELE, właściwie bardzo wiele dni mego życia spędziłem w „terenach”, dla mnie zaś teren — to wieś i miasteczko, a więc miejsca, w których kształtowała się kultura ludowa. Jeśli chodzi o Rzeszowszczyznę, to w poszczególnych jej regionach kultura ludowa była bardzo wysoka i silnie zróżnicowana.

W teren udawałem się — i wciąż jeszcze udaję — po różnych „liniach”, w różnych celach. Znam go tedy od różnych podszewek. Najczęściej przemierzam województwo w celach naukowo-badawczych, ale i kulturalno-oświatowych oraz społecznych. Spotykałem się tedy z różnymi odłamami społeczeństwa, przedstawicielami kilku pokoleń itd. I oto co stwierdziłem między innymi na jednym z wielu odcinków dzisiejszej rzeczywistości.

Jeśli chodzi o starsze pokolenie, to wielokrotnie wprost zaskakuje tu dziwne i takowa ciekawość dowiedzenia się jak najwięcej o dziejach bliźszego i dalszego otoczenia, o własnej wsi, paśniadach, środowisku... o zabytkach ptozonych podaniach czy legendami, słyszanych w latach dzieciństwa czy młodkości. U tych ludzi jakby odżywał się głód nigdy nie zaspokojony, który ledwy cymkolwiek zbywano. Jest to niewątpliwie wynikiem czytania prasy, słuchania radia. Dowiadują się z nich wiele o innych, dalekich stronach, słyszane wiadomości kierują uwagę na podobne zagadnienia, ist-

niejące wokół... ciekawość staje się palącą. Stwierdziłem to zjawisko w czasie odczytów w ramach działalności TWP.

„Rozciekawiony” człowiek szuka wokół siebie kogoś, kto by mu to i tamto wyjaśnił, wytłumaczył. Najczęściej udaje się do nauczyciela, kierownika szkoły.

Jeśli „miejscowy”, prosty człowiek zostaje o coś zapytany, to wiernie powtórzy jakies podanie czy tradycję, albo odpowie, że nie wie, nie słyszał. Natomiast inteligent, który w danej miejscowości przebywa już pewien czas, dbając o swój autorytet nie powie, że nie wie, na odwrót, zaczyna wyjaśniać, tłumaczyć, posługiwać się analogiami, różnymi kombinacjami pseudonaukowymi, z czego ostatecznie wychodzą wręcz niewiarygodne, a nawet fantastyczne historie. Powtórzone raz któryś tam z rzędu wreszcie upowszechniają się i stają „wiedzą”, a właściwie czymś przeciwnym. A dlaczego?

Nauczycieli szkół podstawowych w zasadzie kształci się w liceach pedagogicznych, obecnie zaś coraz więcej w studiach nauczycielskich, tak dziennej, jak i zaocznych. Już pomijając lica pedagogiczne — chociaż nie powinno się pomijać — zatrzymam się

(Dokończenie na str. 13)

dziom w godzinach wolnych od pracy. Tym razem nie będziemy tu poruszać kwestii dostatecznej czy niedostatecznej bazy materialnej niezbędnej przy organizacji i wykorzystaniu wszelkich dostępnych form pomagających kulturalnie wypełnić wolne godziny wypoczynku. Pomówimy o pewnej grupie społecznej, która ma podstawowy kłopot, a mianowicie chroniczny brak wolnego czasu. Myślmy tu o nauczycielach. Prof. Józef Sosnowski przeprowadził niedawno badania wśród 826 nauczycieli. Wyniki tych badań w dużym stopniu pozwalają na pewne uogólnienia budzące uzasadnioną troskę o większość ludzi tego zawodu, skazanych na wyczerpującą pracę bez możliwości kulturalnego spędzenia czasu. A jeśli się weźmie pod uwagę, że nauczyciel z istoty swego zawodu jest pośrednikiem w przekazywaniu młodzieży wartości kulturalnych, tym bardziej staje się niepokojące zjawisko oddęcia nauczycieli od swobodnego, indywidualnego wzbogacania własnej osobowości dorobkiem kulturalnym, istniejącym w zasięgu współczesnego świata kultury i cywilizacji.

Tymczasem wnioski ankietowe opracowane przez Józefa Sosnowskiego są mówiące delikatnie, zasmucające. Wynika z nich bowiem, że nauczyciel w mieście na własne potrzeby kulturalne w ramach wolnego czasu przeznaczyć może tylko 1—1,5 godziny dziennie! Na wsi i w małych miasteczkach czas ten kurczy się do... pół godziny. „Złodziejem czasu” są oczywiście wszystkie dodatkowe zajęcia zarobkowe, konferencje, sesje, egzaminy, konsultacje, prace seminaryjne i dyplomowe, prace społeczne itp.

Badania, o których tu wspominamy, są niewątpliwie poważnym sygnałem ostrzegawczym. Muszą pobudzić do niewesołych refleksji, ponieważ w grę wchodzi tu rozwój duchowy i umysłowy nauczycieli, a także kształtowanie poziomu kulturalnego młodzieży szkolnej. Żadne kursy-konferencje nie zastąpią nauczycielowi tego, co daje samokształcenie, traktowane jako swobodna forma osobistego zaangażowania się w życie kulturalnym swego czasu. Co daje uczestnictwo w tym wszystkim, co przynosi literatura, sztuka i nauka. Korzystanie z książki, prasy literackiej, teatru, radia i telewizji — to zasadnicza droga pogłębiania własnej wiedzy i droga. I na to nauczyciel musi mieć czas. Czas wolny od przymusu urzędowych spotkań i profesjonalnych zajęć. Czynniki odpowiedzialne za „rozkład pracy” nauczyciela w Polsce muszą co rychlej wziąć pod uwagę to zagadnienie, w przeciwnym bowiem razie będziemy mieli nauczycieli niezdolnych do podjęcia wielkiej i odpowiedzialnej roli wychowawczej, niezdolnych do przekazania swoim uczniom pogłębionej wiedzy o świecie, życiu i człowieku. Będziemy mieli co najwyżej kadry przemęczonych, zrutynizowanych „urzędników od nauczania”. A to byłaby klęska. Klęska społeczna.

Według zestawienia Józefa Sosnowskiego „wzorcowy” rozkład dnia nauczyciela szkoły średniej, nie obciążonego rodziwą, przedstawia się następująco:

zajęcia w szkole rannej	6 godzin
zajęcia w szkole wieczornej	4 godziny
przygotowanie się do zajęć szkolnych (konspekty lekccyjne, poprawianie zeszytów uczniów itp.)	2 —
zajęcia gospodarskie w domu	2 —
praca społeczna	1 —
przejazdy do miejsca pracy i z powrotem	1 —
„wczasy kulturalne”	1 —

Razem 17 godzin

Jak widać z tego wzorca, nauczyciel nie ma nawet czasu na przebywanie przez dłuższy czas w domu, nie można się więc dziwić, że jego osobisty warsztat pracy i jego osobiste życie kulturalne stają się sprawą raczej nierealną, zredukowaną do minimalnego relaksu, biernego odzyskiwania utraconych sił w ciągu wyczerpującego dnia pracy. I nie trzeba się niżemu w tej sytuacji dziwić.

Należy się spodziewać, że Związek Nauczycielstwa Polskiego, który ma niemałe zasługi w dziedzinie działalności społeczno-kulturalnej, poświęci więcej uwagi sprawom wolnego czasu w dostojnym tego słowa znaczeniu, nim wysunie propozycje i poweźmie kroki zmierzające do wypełnienia tego czasu konkretną treścią początną organizacyjnych, składających się na pojęcie „wczasów kulturalnych”.

UMARE Tadeusz Bocheński. Indywidualność niesłychanie ciekawa i oryginalna. Odszedł w pełni sił żywotnych, podczas ożywionej swej działalności pisarskiej i odczytowej, pełen inwencji i planów na przyszłość.

Przebieg jeszcze przed niespełna rokiem, gdy ostatnio odwiedził Lublin, chwalił się posiadaniem mnóstwa nowych wierszy oryginalnych i całych tomów przekładów poetyckich ze wszystkich języków. A odgrażał się, że to jeszcze nie koniec jego pracy twórczej.

Lecz niestety wszystkie te dzieła spoczywały w rękopisach, nie znajdowały uznania w oczach wydawców. Bo specjalną właściwością i odmiennością Bocheńskiego było to, że mówił, a przede wszystkim pisał językiem innym, niż wszyscy otaczający go ludzie. Uręczony w swej młodości poezją, został jej namiętnym czcicielem i wyznawcą przez całe życie. A ponieważ pierwsze wtajemniczenia nastąpiły poprzez Grecję antyczną, a również poetów Młodej Polski — pozostało to na nim niezatarte piętno. Wyrobił sobie na tych wzorach własny język. Coś pośredniego między mową herosów Homera a Kasprowicem („z Hymnów”) i Wyspiańskim. Myliłby się ktoś sądząc, że były to dziwolagi lingwistyczne. Bynajmniej, był to język najbardziej prawidłowy, wzorowo poprawny, leciutko archaizowany, a jednak inny, jakiś odświeżony, uroczy, tak jakby liturgiczny. Odczyty radykalnie od potocznego, nieczuły na wszelkie fluktuacje, jakie przechodził w tej burzliwej, obfitującej w radykalne przemiany epoce.

Wypadałoby coś zacytować — nie jest to takie proste, bo dla właściwego obrazu trzeba by cytować dużo, a to znów rozłożyłoby ramy, które sobie w tym pisaniu zakreślił, a wynaleźć jeden wiersz typowy dla całości — niełatwo. Może dla pewnej ilustracji wystarczy takie credo samego poety:

Kogo śpiewają poeci? Bogów śpiewają wieczystych, co tworzą mają słońce, a ramionami orkany.
Góry śpiewają zębate, gwiazd migotliwych sąsiadki,
morza radosne, a dzikie, rozbalwanione odmęty,
Lasów grzywe zieloną, gwara, zwierzęta rodząca
i łóże śpiewają piaski, niebu skwarternu wydane,
palmowym się wachlarzem melancholijnie rzeźwiące.

Kogo śpiewają poeci? Ciebie, słoneczna i chmurna,
Ciebie, sroga, tajemna jako te gwiazd płomieniska,
ciebie, grzywiasta i gładka jako te płatki różane
ciebie szczybiotającą słodziej od wód potocznych,
która się na wysmukłych nogach kołyszysz

[jak palma,
ty tak tającym
z miłości,
ciebie, duszo żywoła, niewystawiona kobieto.

No i jeszcze wiersz pt. „Kościół” otwierający zbiorek pod tymże tytułem:

Ramiony bijąc w gwiazdy, jak dwoma wieżycami,
modlą się płomienią kościół nad kościołami.

IGNIS ARDENS

KONRAD BIELSKI

Organy w ustach moich, skrzydlate w płucach
[miechy,
najdoskonalszy narząd samotnej mej pociechy.

Nie słucha nikt, do narzyt pokorna jest ta pucha,
co bestie w tonie mieszcząc w milczeniu gwiazd
[przycicha.

Nie słucha nikt, do narzyt zuchwała jest pokora,
która się Bogu skarży, że nie dał jej znachora.

Lekarzy wiodą bracia, lekarzy całe zgrażę,
lecz jakże leczycie kościół, co na skrzydłach staje.

Oszalał? Nie oszalał, lecz Bogiem jest pijany,
czmychajcie, grzmiją organy, pękają święte ściany.

To są dwa wiersze programowe. Sam poeta za takie je uważał, eksponując je na czoło swych książek. A wszystko to pisane było w latach, gdy „Skamander” przekroczył już swoje apogeum, awangarda bujnie się krzewiła w licznych środowiskach artystycznych, a cała Polska poetycka rozbrzmiewała echemi sporu o nową formę i nową treść. Bocheński żył poza nawiasem tych spraw. On już ukształtował swoje oblicze artystyczne i od swej linii nie odstąpił nigdy.

Poza twórczością oryginalną, uprawiał na wielką skalę przekłady. Był poliglota — władał wybornie wieloma językami. Znał więc też poezję z pierwszej ręki i tłumaczył tylko z oryginalów.

Wydal za młodych lat tomik przekładów pod tytułem „Gościńce”. Na rok przed śmiercią sam mi opowiadał, że tytuł ten zachował, lecz że obecnie jego „Gościńce” — to dwanaście grubych tomów, że od sanskrytu, po czasy najnowsze, zawierają tłumaczenia wszystkich jego ulubionych poetów. A serce dla poezji miał olbrzymie. Mam wrażenie, że nie ma w Polsce tłumacza-poety o tak fantastycznym ilościowo i tak różnorodnym dorobku. Gdy mnie pokrótce zaznajamiał z nazwiskami tłumaczonych autorów i tytułami utworów — byłem oszołomiony. Jeślibym chciał to przytoczyć, zużyłbym całą kolumnę druku.

I to wszystko pozostało nie wydane — w rękopisie (maszyny do pisania nie uznawał, pisał ręcznie, bardzo czytelnym pismem). I znów między wydawcami a Bocheńskim powstał mur. Murem tym był jego indywidualny, swoisty język tych przekładów, który, według zdania tych ludzi, brzmiał anachronicznie dla współczesnego ucha. A Bocheński nieugięty był i bezkompromisowy. Nie chciał zmienić, ani też dokonać jakiegos wyborów lub selekcji. Albo

wszystko, albo nie i ani jednej litery nie wolno ruszyć!

Swego czasu próbował dać podbudowę teoretyczną do swych poezji. Wydawał więc w roku 1925 „Skamander”, „Spontanzizm”, a w roku 1928 książeczkę pod tytułem „Poetycka ekspresja uczuć”. Przeszły one jednak bez echa i nie zrodziły żadnej polemiki. Napisał 50 lat wcześniej może byłoby nawet rewelacja.

O ile mnie pamięć i moje źródła nie mylą, ostatnim zbiorkiem poetyckim Bocheńskiego była „Moja kanczyzna”, wydana w Lublinie w roku 1928. Od tej daty wiersze swe umieszczał tylko w niektórych czasopiśmiech. Jak więc z tego wynika, Lublin był tym miastem, w którym najbardziej owocowała jego twórczość. Tu debiutował i ogłosił pięć zbiorów swych wierszy („Poezje”, „Poezji seria druga”, „Drzwony”, „Serce” i „Moja kanczyzna”), a w końcu nawet wszystkie, bo dwa tomiki wydane w Cieszyźnie („Rzeźbiarz”, „Kościół”) zawierał wiersze napisane w Lublinie. W naszym mieście rozwijał w latach po pierwszej wojnie ożywioną i wszechstronną działalność artystyczną. Tu występował jako recenzent teatralny i muzyczny, redaktor czasopism, wykładowca, prelegent. Współpracował nawet przez krótki czas z awangardowym „Reflektorem” i żył z nami wszystkimi w przyjaźni. Był to jednak towarzysz od święta, nie na co dzień. Trudno bowiem przebywać stale na podniebnych szczytach.

Tadeusz Bocheński nie palił, nie pił i nie używał żadnych środków podniecających, jemu całkowicie wystarczała sztuka. Sztuka przez wielkie „S”, a ścisłej mówiąc muzyka i poezja. Żył w permanentnej euforii. Ciągle pisał, żeby to rozumieć, trzeba było posłuchać prelekcji Bocheńskiego, a wygłoszonych mnóstwo. W samym Zakopanem, gdzie spędził ostatnie lata życia, przeszło półtora tysiąca. Gruntowna wiedza, szczególnie w zakresie kultury i sztuki antyku, odbyte wyższe studia muzyczne — to były źródła, z których czerpał. Lecz to nie były zwykle odczyty, lecz sprawowanie jakiegoś obrządku uroczystego, obławy, ofiary całopalnej. Bocheński, gdy mówił o poezji i poetach, przybierał raz ten najwyższy, patos apollinowy. A mówiąc o wyboronym, słowa były mu posłuszne, płynęły gładko jak patoka.

Do ostatniej chwili życia wierzył w nieprzemijającą wartość swego piarstwa i jego ostateczny zwycięstwo. Ten język, który był przedmiotem niejednokrotnie ostrej krytyki i przysporzył mu tyle niechętnych — uważał za swoje wielkie osiągnięcie. Był przekonany, że jeszcze wybieje jego godzina i pozyska należyty poklask i uznanie.

Ja osobiście uważam, że ocena należyta całokształtu twórczej pracy Bocheńskiego może nastąpić wtedy, gdy się ją pozna. Trzeba więc jak najszybciej uporządkować pozostałą po nim ogromną spuściznę i to, co należy, ogłosić drukiem. Niech trud jego życia ocenią należycie powożeni do tego krytycy, a przede wszystkim czytelnicy.

ARNO REINFRANK

Polska skarga Trzy kraje

Ciepła jest dłoń,
której nieczęsto wnoszą nad toba,
przepelniony grozą wspomnień
z żalu nad twym nieszczęściem,
o Polsko.

Leżą w gluchej ziemi
dusze ptaków pomordowane
za płatami i cegielniami
w pobliżu bezbronznych śrół,
o Polsko.

Oto odkrywam
włos na żakliczku: to z Oświęcimia,
a jego blask i zapach
rozplywają się w czerni,
o Polsko.

Po szynach z nóg pędzi mój pociąg
aż do cieni Warszawy,
które drżąc giną nagle
przed moimi oczami,
o Polsko.

Ach, twoga naszego czasu
szminkuje jazzem młodość wargi
i nie znika wypalony z raną
[Hakenkreuz
w twoim łagodnym łonie,
o Polsko.

Polskę chciałbym porównać
do błyszczącego rubinu:
na jego grobach
krew w lampach goreje.

Francję chciałbym porównać
do białej gołębiczy:
która zmienia kierunek lotu
tuż przed ścianą z burzy.

A Niemcy porównać chciałbym
do gorącej iskry:
pójdą z dymem pola,
jeśli Abel bronić się nie będzie.

Przełożył: JAN KOPROWSKI

ARNO REINFRANK, należący do drugiego pokolenia poetów zachodniopolskich, urodził się w 1934 roku. Studiował w Heidelbergu, Paryżu i Londynie. Wydał do tej pory cztery tomy wierszy. Od 1953 r. mieszka stale w Londynie. Współpracuje z niezależnymi czasopismami studenckimi „Elan” i „Kontakty”.

LUDZIE LUBELSZCZYZNY

FAKTY CHARAKTERYZUJĄ POSTAĆ

ZOFIA SZYDŁOWSKA

W styczniu przypada dziesiąta rocznica zgonu dr Witolda Chodźki, honorowego członka Lubelskiego Towarzystwa Lekarskiego. Działalność dr Chodźki w Towarzystwie przypada na lata 1901—1907, tj. na okres jego pierwszego pobytu w Lublinie. Już w roku 1901, a więc w niedługim czasie po osiedleniu się w naszym mieście, bierze czynny udział w posiedzeniach Towarzystwa. Dnia 18 listopada demonstruje przypadek ucisku rdzenia pochodzenia urazowego w okolicy 8 i 7 odcinka szyjowego, dnia 4 grudnia przedstawił chorego z uciskiem rdzenia pochodzenia urazowego w okolicy 2 odcinka krzyżowego (sacralis). Na posiedzeniu w dniu 4 maja 1902 r. po referowaniu przez dr Olechnowicza pracy dr W. Chodźki pt. „Przyczynki do kwestii odruchu paluchowego Babińskiego”, wybrany został jednomyślnie na czynnego członka Lubelskiego Towarzystwa Lekarskiego. Od tego momentu udział jego w posiedzeniach Towarzystwa jest bardzo aktywny. Wygłasza referaty, demonstruje i omawia ciekawe przypadki chorobowe, uczestniczy w dyskusjach. Dr W. Chodźko był inicjatorem popierania krajowej produkcji narzędzi lekarskich oraz krajowego przemysłu farmaceutycznego. W dniu 13 października 1902 r. na jego wniosek powołano do życia Tymczasową Komisję Przemysłowo-Lekarską. Miała ona na celu popieranie produkcji preparatów krajowych z równoczesnym wypieraniem z handlu wyrobów zagranicznych, głównie niemieckich. W

skład Komisji m. in. wszedł także dr W. Chodźko. W latach 1902/3 Komisja odbyła ogółem 6 posiedzeń. Na jej wniosek podjęta została uchwała Towarzystwa z dnia 4 lipca 1903 r. „W sprawie wypisywania leków i środków opatrunkowych”, na mocy której członkowie Towarzystwa zobowiązali się ograniczyć stosowanie preparatów produkcji niemieckiej i zastąpić je odpowiednimi krajowymi, względnie francuskimi lub szwajcarskimi wymienionymi w uchwale.

Ważnym osiągnięciem Tymczasowej Komisji Przemysłowo-Lekarskiej było opracowanie wykazu porównawczego cen wyrobów przemysłu lekarskiego w dziale chirurgicznym, dentystycznym, elektrolecnicznym, opatrunkowym i laboratoryjnym, ginekologicznym, akuszerycznym, urologicznym i okulistyycznym. Dr W. Chodźko opracował spis przyrządów do elektroterapii produkcji polskiej, francuskiej, niemieckiej, austriackiej, omawiając jednocześnie wartości poszczególnych instrumentów. Wykaz ten podano do publicznej wiadomości na łamach „Czasopisma Lekarskiego”.

Uchwałą Towarzystwa z dnia 19 października 1903 r. Tymczasowa Komisja Przemysłowo-Lekarska zakończyła swą działalność, a na jej miejsce w dniu 4 listopada powołano stałą Komisję Przemysłowo-Lekarską; jej sekretarzem został dr W. Chodźko.

Dr Witold Chodźko działał w Lubelskim Towarzystwie Lekarskim nie tylko jako lekarz. Na posiedzeniu w dniu 4 lipca 1902 r. wybrany został bibliotekarzem Towarzystwa. Godność tę piastował w latach 1902—1904. Z tego okresu mamy bardzo szczegółowe sprawozdania z działalności biblioteki i Komisji bibliotecznej, której dr Chodźko był sekretarzem. Na posiedzeniu w dniu 18 grudnia 1902 r. przedstawiony projekt regulaminu Komisji spowodował podjęcie uchwały o opracowaniu regulaminu dla całego Towarzystwa. Regulamin został opracowany i zatwierdzony na posiedzeniu dnia 4 maja 1903. W skład jego wszedł regulamin dla Komisji bibliotecznej. Dr W. Chodźko dał duży wkład pracy przy opracowaniu regulaminu Towarzystwa. W oparciu o za-

twierdzonego regulaminu czynności Towarzystwa i jego organów zostały przejrzysto sformułowane i ustalone. Działalność dr Witolda Chodźki w okresie jego pierwszego pobytu w Lublinie wykroczyła poza ramy Towarzystwa. Zajmował się także pracą społeczno-kulturalną. Na terenie Lubelszczyzny w tym okresie szczególnie aktywne było Towarzystwo Szerzenia Oświaty „Światło”, mające na celu organizowanie szkół elementarnych, kursów, wykładów, odczytów, bibliotek. Do jego organizatorów obok dr Marka Arnaszajna, dr Mieczysława Biernackiego należał dr Witold Chodźko.

Współpracą dr Witolda Chodźki z Lubelskim Towarzystwem Lekarskim

nie została zerwana po wyjeździe jego z Lublina w roku 1907. Został on członkiem korespondentem Towarzystwa.

Oceniając jego wielkie zasługi polu lekarskim i społecznym Lubelskie Towarzystwo Lekarskie na czystym posiedzeniu w dniu 4 lipca 1919 r. powołało go w poczet członków honorowych Towarzystwa. Dr Chodźko powtórną osiadł w Lublinie po wyzwoleniu i pracował do końca swego życia jako profesor, kierownik Katedry Higieny Ogólnej Wydziału Lekarskiego UMCS, a następnie Akademii Medycznej w Lublinie.

Działalność dr Witolda Chodźki w nowi jedną z chlubnych kart historii medycyny polskiej.

ELŻBIETA ROSIAK

ANDRZEJ Strug, którego 25 rocznicę śmierci obchodziliśmy w grudniu ubiegłego roku, znany jest przede wszystkim jako powieściopisarz i nowelista oraz działacz społeczny i polityczny. W dniu natomiast zainteresowań krytyki i czytelników pozostaje jego twórczość publicystyczna i krytyczno-literacka. Mimo, iż Strug nie pozostawił po sobie zbyt dużego dorobku w tym zakresie, warto jednakże przypomnieć, że jego debiutem literackim była właśnie praca o charakterze historyczno-literackim pt. „Charakterystyki literackie. Stefan Żeromski”, która otrzymała pierwszą nagrodę na konkursie zorganizowanym przez Związek Naukowo-Literacki we Lwowie w 1900 roku. Wśród książek recenzowanych przez Strugę na łamach czasopisma „Ogniwo” w latach 1903–1904 znalazły się takie pozycje, jak: „Wyzwolenie” Wyspiańskiego, „W roztoinach” Orkana, „Popioły” Żeromskiego i „Próchno” Berenta. Osobną też pozycję stanowi obszerny wstęp poświęcony Dostojewskiemu, autorowi „Zbrodni i kary”. Szczególnie ciekawe i w wielu punktach aktualne są wypowiedzi Struga na temat twórczości Wacława Berenta*).

„Próchno” Berenta, drukowane w „Chimerze” w roku 1901, wywołało żywiołą dyskusję wśród krytyków tego okresu, ale i nie tylko współczesnych Berentowi. Ocena tego zjawiska literackiego zajęli się tacy, jak: Maria Komornicka, Wiktor Gomulicki, Stanisław Lack, Tadeusz Gałeczki, Włodzimierz Spasowicz, Wilhelm Feldman, Ignacy Matuszewski. Obok entuzjastów treści i formy powieści byli i tacy, którzy ganili tak postawiony przez autora problem sztuki i jej wyznawców, podkreślając za to wysoką formę utworu.

Ciekawie na tle sądów krytycznych zarysowuje się zdanie Tadeusza Gałeczkiego.

Strug, oceniając dzieło Berenta, patrzy na niego z kilku aspektów: problemu, jaki przedstawia w „Próchnie” autor, jego oceny ze stanowiska ówczesnej doby, oceny występujących bohaterów jako nosicieli pewnych poglądów, z aspektu formy artystycznej utworu. Całość tej analizy przypięta jest komentarzem odtwórczym, będącym wyrazem poglądów Struga na literaturę ówczesnej doby.

Gałeczki określa Berenta jako autora, który z powagą i skupieniem zajął się badaniem dekadentyzmu w sztuce i w życiu. Dekadentyzm — według recenzenta — jest krańcowym rozwinięciem indywidualizmu. Indywidualizm jest zjawiskiem mającym oczywiście prawo bytu w sztuce, ale sztuka łączy się z życiem społecznym, a życie społeczne nie ma miejsca dla egoistów, hołdujących krańcowemu indywidualizmowi. Strug, żywy obserwator współczesnego mu życia społecznego, uważa, że rzeczywistość nie pozwala na spokojny rozwój indywidualizmu w sztuce, co więcej, tłumaczy.

Tematem „Próchna” jest ukazanie konfliktu między życiem a sztuką. W Polsce, według Gałeczkiego, dekadentyzm jest zjawiskiem egzotycznym mającym swe odzicie w literaturze i sztuce, dotyczy więc wąskiego wyścinka, czytelnik zaś łączy do niego raczej z ciekawości jako do rzeczy nieznannej (ale bardzo reklamowanej), chociaż ten problem jest mu obcy. Dekadentyzm w społeczeństwie polskim jeszcze nie ma, jest to zjawisko raczej zachodnioeuropejskie.

„Tam (chodzi o zachód Europy) może być mowa o istocie ciężkiej chorobie wieku, u nas ten wiatr zachodni musnął zaledwo z lekka literaturę i sztukę naszą, a że przyszedł z daleka, stracił wiele z siły rozpędu, zgubił po drodze wiele pierwiastków trujących i podobnie jak drobna doza trucizny ożywił naszą sztukę i literaturę, a przede wszystkim — dał jej nowe formy, bo treścią i duszą jak było, tak i pozostało nadal to, co jest naszym własnym dorobkiem duchowym”.

Zasługą więc dekadentyzmu dla literatury polskiej jest jej ożywienie i zdobycie formalne, artystyczne. Nie wchodzi tu w grę, według Struga, czynnik ideologiczny, bo kultura obca wkraczając do Polski wymaga odpowiednich warunków społecznych i pewnego czasu. Wydaje się, iż Strug nie ma w tym miejscu racji o tyle, że warunki ówczesnej Polski były jak

najbardziej sprzyjające dekadentyzmowi — jest to okres, kiedy hasła pozytywistyczne przestają być aktualne, gdyż do głosu dochodzi już nie rodzące się mieszczaństwo, ale burżuazja.

Dla Gałeczkiego akcja „Próchna” rozgrywa się nie w Warszawie czy Krakowie, tylko w jakimś dużym, spolonym mieście, gdzie wszyscy pędzą za zarobkiem, niepewni jutra, mając przed oczyma widmo utraty zarobku, — w jakiejś stolicy zachodniej, np. w Berlinie. Tak oto ocenia atmosferę tego miasta Strug:

„A dalej idzie gorączkowa polityka światowego mocarstwa, rozpasany szowinizm, wsłuchujący się z lubością w loskot bębnowy i grzmot nieustannie musztrowanych batalionów!.. A dalej idą zaciekle walki z trybuny parlamentarnej, prasa o stu kotłach i barwach, a godząca w jednego wroga, który wzbięra i grozi staremu światu”.

Po lekturze „Próchna” Strug dochodzi do wniosku, że istotnie, trudno na takim tle usłyszeć szczerzy głos duszy, bo była on natychmiast tłumiony, do działania dochodzi konkurencja i „religie popłatne”.

Ciekawą jest rzeczą, co rozumiał Gałeczki pod terminem „religie popłatnych”. Wydaje się, że jest to określenie jakiejś ideologii antyproletariackiej. Bohaterów „Próchna” nazwie Strug męczennikami sztuki, spędzonymi z rynku sławy, skazanymi na samotność, na myśli bezpłodne, na szarpanie bezowocne. Uważa, że po tych „odpadekach sztuki” nic nie zostanie trwałego dla świata.

Przeciwstawieniem tego ginącego świata jest wyraźnie zarysowana, pewna, młoda i rozległa siła i chociaż Strug nie nazywa jej po imieniu, możemy domyślać się, że chodzi tu o proletariat. Recenzent zdaje sobie sprawę z tego, że nadzieje dusze artystów noszące zarodek choroby — próchna — są stracone dla życia i nie potrafia dać zdecydowanych odpowiedzi, ani podać żadnego czynu. Chwilami odnosi się wrażenie, że Strug nie ocenia konkretnie występujących bohaterów w powieści Berenta, ale stawia jakąś polityczną, ideologiczną batalię. Takich wyczulonych ludzi zepchną mniej wyrefinowani, stojący mocno na ziemi i patrzący tylko na sprawy doczesne — dusze, które sztuka współczesna odpycha.

Strug wysuwa model artysty ówczesnej doby, artysty, który byłby świadom swej roli w społeczeństwie, co nie pozwoliłoby mu występować ani za wcześnie, ani za późno, by nie mogła go zalać fala płynąca w innym kierunku. Dzisiaj bez trudu można już odczytać, co kryło się pod sformułowaniami: „coś”, „płynąca fala” czy „inny kierunek”.

Świat artystów z „Próchna” jest dla Gałeczkiego osamotniony, nie mający żadnych sympatii w społeczeństwie. Jedynie tylko dla filistrów jest on „czymś”, tj. dobranym towarzystwem, co więcej, tych ludzi z mikrokosmosu kawiarni nie łączy — spotykają się, chociaż się nienawidzą, utrzymują zewnętrzne stosunki, jedyną zaś ich wiarą jest język. Strug widzi, że do tych ludzi, którzy w imię sztuki, dla sztuki, i przez sztukę cierpią, dochodzą różni spryciarze, plagiatrzy, pijacy. I tak rodzi się „dekadentyzm”. Dlaczego wobec tego łączy do nich także nowicjuszy, przyjezdny artysta, który przecież z pogardą patrzy na tę „wykolejoną holotę”? Na to pytanie nie daje Strug odpowiedzi, jedynie stwierdza, że tak jest. Potrafi jednak dostrzec, iż Berent zdaje sobie sprawę z istnienia ludzi inaczej pojmujących sztukę i z roli próchna, które użyłna grunt pod nowe życie.

Dużo miejsca poświęca Gałeczki bohaterom powieści, zwłaszcza Jelskiemu. Niepokoi on bardzo recenzenta, który potrafi ocenić go właściwie. Uważa, że jest to postać najbardziej plastyczna, skłócona artystycznie. Zerujący na talencie kapłanów sztuki bankrut życiowy, polip, znający dobrze „kurs u zbankrutowanych artystów”, którym zazdrości talentu, nienawidząc ich; niczego nie odczuwa, niczym się nie interesuje i nikogo nie kocha. Piszę też o nim Strug tymi słowami:

„Ze wszystkich postaci „Próchna” na jednym Jelskim można nalepić etykietę „dekadent” w tym znaczeniu, jakie to kabalistyczne słowo przybrało za naszych czasów”.

WTAK zwany pokojem noclegowym w Dębicy, gdzie zatrzymałem się na kilka dni, było wyjątkowo obskurnie, niechlujnie, a przede wszystkim zimno. Właściciela pokoju i całego tego podmiejskiego domku — do ostateczności zaniedbanego, już właściwie rudery — była niewiasta po sześćdziesiątce, wdowa po przedwojennym oficerze, wysoka, gruba, z życia zrezygnowana i wskutek tego skłonna do oschlej niezależności sądów.

Ten dzień końca listopada objawił się jak najgorszą pogodą. Wiał bardzo silny, górny wiatr, niosąc gęste tumany mokrego śniegu. Po drewnianej willi (dom był nią kiedyś w młodości) harcowały liczne poddmuchy. Zawładując krawat przed lustrem wyglądałem przez okno i z niechęcią myślałem o dzisiejszej wyprawie w teren.

Najpierw doszedł mnie zawadzony przeciąglymi, chłopskimi głosami żalobny śpiew. Po chwili zobaczyłem przed domem, ciągnący biotnistą, na pół śniegiem zawaną ulicą, kondukt żalobny.

Wdowa roześmiała się z jakąś boką wyrzucalnością i z zrytem: — Chyba przez tę swoją wiece ciążę. To mało być jej piąte dziecko. Umarła nagle. Miała straszne życie. W nocy pękł jej na nodze zylak bo i przecież harowała jak zawsze, ty dzień. Zaraz okropny krwotok, znaleźli lekarza, nim przyjechał, już było po wszystkim.

— Tyle tych dzieci wszędzie tu Czy nie za dużo? — wyrwało mi. Przypomniały mi się szczególnie puławyrowane w tym województwie wystawiane na czołowe miejsca wszystkich punktach kolportażu kasek i czasopism, broszury o zapobieganiu ciąży.

Wdowę aż poderwało.

— O-o-o, proszę pana! — zawołała — dzieci nigdy nie ma za dużo. Dawniej dzieci było jeszcze więcej jakoś naród nie zginał. Pan Bóg oświadczyła po chwileczce namysłu dba o najdrobniejsze stworzenie i pozwoli mu zginąć, jeśli już na świat przyszło. Pan Bóg — ciągnęła trzając na mnie surowo (zrozumiałem).

Przygody prelegenta oświatowego

STANISŁAW ŁUKASIEWICZ

Za skromnym karawanem szło kilkanaście skromnie odzianych osób. Tuż za trumną dreptało czworo małych dzieci. Jedno z nich, czteroletniego malca, prowadził za rączkę chyba jego ojciec, niepozorny chłecyzna, raczej niskiego wzrostu, w zniszczonym paletku. Sprawił wrażenie wystraszonego i ogłuszonego nagłym nieśczęściem.

Zawadzający, przeciągly śpiew grupki babinek w wiejskich chustkach był tragicznym, bezradnym komentarzem.

Śpiew ten przywołał do mego pokoju gospodynię, gnieżdzącą się dotąd gdzieś w tajemniczym wnętrzu domostwa. Zbliżyła się teraz do okna, przyjrzała fachowo orszakowi pogrzebowemu i powiedziała do mnie tonem specjalnym, plotkarsko-informacyjnym:

— Na cmentarz prowadzą od razu dwie osoby.

— Jak to?

— Ano tak. Matka była w siódmym miesiącu ciąży.

— Dlaczego umarła?

Ze ma mnie za przedstawiciela „ty wszystkich dzisiejszych okropnych z patrywaf” — na pewno taki obiecał „inteligent”, nie wierzy w niego. „W Boga nie wierzy, do partii pewnie należy”.

— Pan Bóg chce i Kościół każe, że by dzieci było dużo. Pan Bóg ma w wszystkich w pieczy, pod opieką Pań Boga nie zginiemy. Pan Bóg jest mi widoczny... — uznała pewnie za słowne poinformować mnie bliżej do samej istoty Pana Boga i pograzała się w żmudnym namyśle, aby znaleźć coś szczególnie przekonującego, ale jakoś nie nie przychodziło jej do głowy, bo wiadomo, zagadnienie jest raczej dość skomplikowane.

DWORZEC autobusowy tonął rozmoakłym śniegu. Autobus przyszedł oblepiony u góry śniegiem, u dołu obryzany błotem. Miałem się znaleźć na godzinę pięć po południu w wiosce oddległej od Dębicy o osiem kilometrów, aby w mieście scowym Uniwersytecie Powszechnym wygłosić prelekcję o współczesnej literaturze polskiej i przy okazji o własnych książkach.

Końcowy przystanek dla mnie był na szosie w szczerym polu. Zapadł już noc. Śnieg z ukosa ciał w twar. Do wioski miałem iść dwa kilometry. Powiedziano mi w autobusie, aby w oddległości kilkudziesięciu metrów od przystanku poszukał drogi skracającej w pola, zaprowadzi mnie ona do wioski, i do szkoły.

Z trudem odnalazłem ową drogę ledwo zaznaczającą się spod śniegu rozmazanymi koleinami wozów. Obawą siedłem w przestrzeni ciemnej rozjaśnianej żadnym światelkiem. Nogi grzęzły w głębokim śniegu, i znów wpadałem w kałuże i ślizgalerię się po błocie.

Pomyślałem sobie, że doznaje wreszcie uroków wsi do syta. Droga obniżyła się jeszcze bardziej i stała się wprost niemożliwa do przebrnięcia.

Zupełnie niespodziewanie uderzył mnie migające dość blisko światło.

Świetlica szkolna aż pękała od ludzi. Kierowniczka Uniwersytetu Powszechnego oznajmiła mi, że na mój pdczyt, mimo niepogody, zeszyły się aż trzy pobliskie wsie, żeby przysłuchać się takiemu, co to pisze książki. Zatioczoną izbę, w której od razu zrobiło mi się gorąco, słabo rozjaśniały dwie zawieszzone na ścianach lampki naftowe, na stoliku obok wazonika z jakimiś kwiatkami stała również lampka.

Gdy weszliśmy z kierowniczką na salę, przywitana mnie natychmiastowa, przyjazna cisza.

Była młodzież, byli ludzie dorośli — mężczyźni i kobiety. Patrzyli na mnie z ufnością i głębokim zastanowieniem. Od razu powrócił mi jak najlepszy humor, uderzył oczywiście sens tej mojej wyprawy. Odczułem głęboką satysfakcję.

Bo któż to tak żywiołowo manifestował swoje zainteresowania dla autora, dla książki, dla literatury? Ci,

(Dokończenie na str. 8)

* (A. Strug), Tadeusz Gałeczki: Wacław Berent — „Próchno”, „Ogniwo” 1903, nr 21–22.

owa młodość tarych miast

LESZEK PROROK

ATAKIA, główny port Syryjskiej Republiki Arabskiej, cieszy się marynarską sympatią. Grzechy Syryjczyków w pokładowych porarkach przeciwstawia się z naciskiem zachowaniem mieszkańców Libanu. Jedno mi dla takiego zestawienia ileż jakieś oczywiste uzasadnienie stało się widocznym od razu opanowaniem Syryjczyków i brakiem hałaśliwości w ich pracy. W opinii marynarskiej Latakia uchodzi również za najczystszy port świata. Na pewno w porcie tym zawiązała się spora prawda. Maragowa zieleni wciąż wrok głęboko i zdaje się chłodzić oraz rzeźwić sze spojrzeń. Wewnątrz basenów woda nie różni się od otwartego morza, przynosi oliwnych i benzynowych ciekłych, puszek, wszelkiego śmiecia, które widuje się nawet w porządnym ortalu świata.

Motorowiec „Czech”, którym odbyłem podróż po krajach Lewantu, zbył tu w nocy. Stanęliśmy zatem w kotwicy w odległości kilku mil od zęgu. O siódmej rano na pokład drapał się po trapie ogorzwały Syryjczyk w białym, oficerskim mundurze, emuldy już lecz sprężysty jak akrota. Gdy zagrały oba nasze Diesle, Edward ruszył na mostek nawigacyjny z wycieczką kawą dla gościa.

Rozmowa ma posmak szczególny. Piłki wprowadzał do Latakii „Czech” jelekrotnie, po raz pierwszy jednak od tym dowództwem. Nawiazanie ojaomości z kapitanem, oraz „chlemb”, czyli starszym oficerem, odbyła się zatem na gruncie kurtuazyjnych wag i porci.

Port ładny, ale... Syryjczyk nie jest sadowolony z Jugosłowian, którzy go odowali. Rozpięta się natomiast, w ichowach zresztą kategoriach, nad alorami najmłodszego porfu, w tej części Morza Śródziemnego. Dla Republiki Cypryjskiej budują go w Fagaugście nasi inżynierowie. Dobra fauna o polskiej budowie krąży na porzezu Lewantu.

Olbrymi elewator zbożowy, największy zakład w latakijkim porcie, budowali Syryjczykom Bułgarzy. Ta udowla ma dobra markę.

W szmaragdowym porcie „Czech” zucił kotwicę na środku basenu, zaraz ruszył na nadbrzeże wielkie ponony, pełne bielutkiej jak wata bawełny, którą zabieramy dla fabryk bédzich. Bawełnę ładuje się tutaj na tatki niemal wyłącznie z wody.

Stutrzydziestotysięczna Latakia zóli się szafranowo swymi fasadami, aniasnymi kopułkami kilku meczetów, wieżyczkami świątyni chrześcijańskich i te sinego pasma gór Salaouib. Już rzędz tysiącami lat zbęgały się tutaj ważne historyczne szlaki: do Halebu rzyli Aleppo i do stolicy państwa Selescydyów, Antiochii, znajdujące się obecnie na terytorium Turcji. Wówczas Latakia nazywała się Diospolis, w III w. p. n. e. Antioch II nadał miastu nową nazwę od imienia swej żony, Laodycei. Podarki małżeńskie tego geograficznego tworu były podówczas w szczególnej modzie, analogiczne jest bowiem pochodzenie nazwy sąsiedniego Bejrutu. W okresie rzymskim miasto i port uległy zniszczeniu, gdyż Grecy tutejsi stawiali Rzymianom silny opór. Ale już w I w. naszej ery poszukiwana wszędzie wełna okolicznych czarnych owiec przywróciła Latakii znaczenie. Pogrzebało je ponownie trzęsienie ziemi za czasów Nerona.

Dziś stolica jednego z dziewięciu Muchafazatowczyli województw stanowił bilet wizytowy Syryjskiej Republiki Arabskiej. Dlatego też konstruktorzy wszystkich nacji są tu przyjmowani z uznaniem i sympatią równą tej, jaką baseny portowe z najczystsza w świecie wodą darzą obywateli-marynarz z polskiego statku.

Mieszkańcy Latakii szczerzą się tym, że w pobliskiej miejscowości Ras Shamra odkryto najstarszy alfabet świata oraz ruiny miasta z XIV wieku p. n. e. Mieszkańcy półmilionowego Halebu zaznaczają wprowadzie z podobną dumą, że drugie po Damaszku miasto Syrii liczy się do miast jeszcze starszych — jest o trzy tysiące lat starsze od najwcześniejszych zapisów chronologicznych, a nazwę jego znaleziono na wypalonych cegielkach z piśmem klinowym, jednak za znacznie bardziej atrakcyjny szczegół własnej historii, uważają założenie w XVII w. n. e. pierwszego w dyplomatycznej praktyce świata konsulatu. Aleppo było wówczas najznaczącym ośrodkiem handlowym i przemysłowym Bliskiego Wschodu.



Haleb. Działaniec Wielkiego Meczetu. Fot. L. Prorok

Charakter taki zachowało do dnia dzisiejszego. Wprawdzie słynne etapowe popasy karawan, karawanseraje, których było tu ok. czterdziestu, nie odgrywają już dawnej roli, karawany są dziś rzadsze i mniej liczne, a w komunikacji syryjskiej dominuje bezapelacyjnie samochód, — ale znane na całym świecie Suki czyli bazyry Aleppo pozostały tym samym, co w dawnych epokach historycznych — jednym z najbardziej malowniczych i rozległych targowisk tej części globu.

Uliczk kramów i straganów, pokryte łukowatymi sklepieniami, przypominające ledwo rozjaśnione tunele kolei podziemnej o tajemniczej, lecz skutecznej wentylacji, zapchane towarami, ciżbą ludzi wszystkich zamieszkujących Półwysep Arabski plemion, mułami i osłami, obejmują zawijaszami swych odnóg kilkanaście spośród kilkudziesięciu meczetów Halebu, zaś wśród nich dwa najpiękniejsze: Meczet Omajadów i Wielki Meczet. Długość

uliczek-tuneli tego jedynego w swoim rodzaju labiryntu jarmarcznych wynosi ok. dwunastu kilometrów.

Suki kończą się wylotem u podnóża gigantycznej cytadeli, która stanowi największą turystyczną atrakcję miasta. Wzgórze cytadeli zmieniało nieraz wladców i przeznaczenie. Hettyci, po których zostały tutaj odsionięte częściowo mury, czcili tu przed trzema tysiącami lat boga słońca. Ich następcy zakładali tu ośrodki kultu Haddada, boga błyskawic, Isztar, bogini płodności, i Szamasza, boga sprawiedliwości. Grecy i Rzymianie zbudowali tutaj Akropol. Budowę silnej fortecy zapoczątkowało Bizancjum, ukończył ją El Zaher, syn sułtana Saladyna, na początku XII wieku.

Mieszkańcy Halebu przechodzą wokół fosy, która otacza wzgórze cytadeli, z obojętnością. Bardziej interesuje ich nowa rola miasta — stolicy syryjskiej bawełny. W październiku ubiegłego roku odbyła się tutaj ogólnokrajowa giełda, nazwana z fantazją festiwalem bawełnianym. Nie targami, lecz festiwalem. Plakaty zapowiadające po arabsku i francusku „Festival du cotton” w mieście Alep, wiszą w całym kraju.

(Dokończenie na str. 9)

PRZYGDY PRELEGENTA OŚWIATOWEGO

(Dokończenie ze str. 7)

którym kulturę przyniosły dopiero nasze czasy, którzy dla spraw kultury mieli wzruszającą świeżość ciekawości i którzy po kulturze, po książce, po pisarzu spodziewali się, może jeszcze nieświadomie, czegoś najważniejszego, co wpłynie na ich życie.

I nasunęła mi się zaraz trochę gorzka uwaga: w im większym mieście odbywała się prelekcja autorska, nie tylko moja, ale i pisarzy głośnych, tym mniej zjawiało się na niej przedstawiciele inteligencji zawodowej — lekarzy, adwokatów, inżynierów, wyższej administracji.

Wobec tego wiejskiego audytorium napływały mi teraz najlepsze, najserdeczniejsze myśli do głowy. Poczulem więc, prawdziwą solidarność ze słuchającymi. Mówiłem o wychowawczej i samokształceniowej roli książki, o niektórych głośnych polskich i obcych powieściach, o współczesnej literaturze polskiej, o wielkich tradycjach naszej literatury, o zadaniach pisarza i na koniec o tym, jakie doświadczenia życiowe zamknąłem w swoich książkach.

Na jednej z pierwszych ławek siedziała młoda blondynka o włosach sutych, z bardzo jasnymi, złocistymi smugami. Przez cały czas trwania prelekcji nie spuszczała ze mnie oczu. Po odczytaniu odprowadzała mnie na przystanek kilka osób zdujących w tym samym kierunku, — wśród nich również owa ładna dziewczyna. Miała lantarę, wskazującą nam o chwili rozproszoną smugą światła lepsze przejścia.

Towarzysząca nam niska kobiecina w grubej chustce opowiadała tymczasem tonem zupełnie swobodnym i wcale poprawnym językiem, jak to ona lubi czytać książki, że stała ma do czytania jakąś książkę u siebie w domu, zna całego Sienkiewicza, dużo książek Orzeszkowej, Prusa, Kraszewskiego. Nawet zna książki amerykańskiego pisarza Hemingwaya.

I tak zabawiała nas rozmową, aż odeszła dróżyka gdzieś na prawo międ-

dzy ciemne, przycupnięte nad śniegiem krzaki. Przed tym podała mi rękę, — była to sucha, ciepła, bardzo chropawa ręka.

Została z nami jeszcze jakaś inna, nieśmiało milcząca niewiasta i dwóch kilkunastoletnich chłopaków. Blondynka trzymała się mnie wiernie i nieustępliwie.

— Co pani robi we wsi? Czy pani tu mieszka? — zapytałem wreszcie.

Odpowiedziała takim tonem, jakbyśmy już długo ze sobą o wielu rzeczach rozmawiali, że właśnie jest tutaj bibliotekarka, już drugi rok. Mieszka z matką, ojciec zmarł przed dwoma laty, musiała przerwać naukę w jedenastej klasie i zacząć pracować, matkę pomagać. Ale ma zamiar zdobyć maturę, choćby zaocznie.

Zaczęliśmy mówić o działalności jej biblioteki. Zorientowałem się, że umie propagować takie książki, jakie mogą wies zainteresować, mogą się przydać. Opowiadała o swojej pracy chętnie, rzeczowo, ale czulem, że coś innego bardziej zaprząta jej myśli.

Wysłaliśmy na szosę. Milcząca niewiasta poszła gdzieś dalej, zostało przy nas tylko tych dwóch kilkunastoletnich chłopaków. Bibliotekarka powiedziała im zaraz z wyraźną niecierpliwością:

— Idźcie chłopcy do domu.

Z ociąganiem się odeszli. Dziewczyna powiodła mnie na drugi skraj szosy, pod ciemną kepe sosen zasnianających od wiatru. Lantarą poświeciła sobie przy zegarku i zawołała żywo:

— Jest jeszcze kilkanaście minut...
— Pani mieszka tu gdzieś w pobliżu?

— Nie. Ja mieszkam tam we wsi, umyślnie odprowadziłam pana — odrzekła i przysunęła się bardzo blisko.

„A więc mogę się jeszcze podobać młodym kobietom” — pomyślałem nie bez próżności. I jednocześnie z niesmakiem: Czy po to tu przyjeżdżałem, by zalecać się do ładnych dziewcząt!

— Proszę pana...!

— Słucham!

— Ja jestem strasznie nieszczęśliwa... Jestem w ciąży.

— No więc cóż z tego — powiedziałem po chwili milczenia.

— Ach, proszę pana — westchnęła ciężko — ja nie miałam komu o tym wszystkim powiedzieć, kogo się poradzili, gryzłam się, drczyłam się sama, jestem już bliska wariacji... Dopiero jak pana zobaczyłam... Pan jest taki mądry, pisze pan książki, wygląda pan na człowieka wyrozumiałego, postanowiłam zaraz wszystko panu o sobie powiedzieć i poradzić się co mam robić...

Objęła mnie konwulsyjnie,
— Proszę, niech pani opowie, może potrafię coś poradzić — powiedziałem jak mogłem najserdeczniej.

Zaczęła się spieszyć, trochę się płatała. We wrześniu była na wiejskiej zabawie z miejscowym chłopcem, który asystuje jej od dłuższego czasu, chciał i chce się z nią żenić. Nie zdawała sobie dotąd sprawy z uczu do niego. Kiedy wracali wieczorem przez lasy do domu, uległa. W październiku powiedziała mu, że jest w ciąży. Ucieszył się, że teraz już na pewno zostanie jego żoną. Wtajemniczył w całą historię swoją matkę, która wobec tego wyznaczyła datę ślubu. Chłopak jest technikiem, pracuje w fabryce. Nie kocha go, nie znała przed tym jego charakteru... Olek charakter ma niedobry, jest gwałtowny, ordynarny, często upija się, robi burdy z kolegami, z matką też się kłóci. I tak by za niego nie wyszła...

I właśnie w październiku poznała w Dębicy młodego człowieka, który tu niedawno przyjechał z Krakowa. Pracuje też w fabryce, ale w innej, jest inżynierem. Nie wie sama, jak to się stało, że zaczęli się ze sobą spotykać coraz częściej. O takim właśnie mężczyźnie zawsze marzyła. Jest delikatny, dobry, szlachetny. Powiedział, że jak tylko ją zobaczył, wiedział od razu, że poznał w niej swoją żonę.

— Swoją żonę — zawołała głosem wzburzonym — z ciążą od kogo innego!

Kocha go, byłaby bardzo szczęśliwa, gdyby została jego żoną. Spotyka się z nim ukradkiem, w tajemnicy przed Olkiem, któremu na nie teraz nie pozwala. Ten inżynier ma być w przyszłym roku przerzucony do Warszawy, mówi, że ona musi się dalej uczyć, musi skończyć uniwersytet. Ze potem i matkę weźmie do Warszawy. Taki jest wspaniały. I chce, żeby ślub był już niedługo.

— Nie próbowała pani opowiedzieć mi szczerze o sobie?

— Ach, proszę pana — zawołała z rozpaczą — nigdy w życiu! On ma mnie za niewinną, za anioła! Nie wiem, czy by wybaczył mi to wszystko. A i ja sama spaliłabym się ze wstydu, może bym wtedy nawet i przestała go kochać...

— A więc nie pozostaje nic innego jak zatrzeć ślady — powiedziałem ostrożnie.

— Ale jak to zrobić? Gdzie? W naszym mieście — nie ma mowy. Pilnują mnie już Olek, jego matka. Moja mama jeszcze nie wie, ale gdyby się dowiedziała, że przerałam ciążę, umarłaby z rozpacz — taka jest religijna, tacy są u nas jeszcze ludzie... albo by się mnie wyparła raz na zawsze i wygoniła z domu. Kazałaby mi wyjść za Olka!

Olek kiedyś mnie zobaczył, w kawiarence w Dębicy z tym inżynierem — mówiła po malej przerwie — potem we wsi o mało mnie nie pobili, krzyczał że wyszuka tego inżyniera i powie mu wszystko o mnie, jaka to ja jestem...

— Inżynier musi przed tym dowiedzieć się wszystkiego od pani.

— Ja mu tego nie powiem! Zresztą Olek i tak zrobi to pewnie wcześniej. W tych dniach będą wiedziały, czy mam żyć, czy też skończyć ze sobą.

W dali na szosie, poprzez ciemność poczęły przebijać się słabe światła reflektorów.

— Idźcie autobus — jęknęła dziewczyna.

— Niech pani nie desperuje — powiedziałem szybko — jutro mam dzień wolny, proszę przyjechać po południu do biblioteki powiatowej, tam się spotkamy i porozmawiamy. Może coś uradzimy. Może pani mnie poznać z inżynierem, spróbowałbym porozmawiać z nim po ludzku, czy ja wiem...

— Dobrze, przyjadę — szepnęła.

Po chwili na przystanku zatrzymał się autobus.

Pocałowałem dziewczynę w rękę. Gdy już wóz ruszył, zobaczyłem ją jeszcze w smudze reflektora na szosie, stającą, jak mi się wydawało, energicznym, pewnym krokiem młodej kobiety.

(Rzeszów 1962).

Stanisław Łukasiewicz

»I TO BYŁO WSZYSTKO«

KRYSZTOF WÓJTOWICZ

— Zanim pani zamieszkała naprzeciwko — dziecko już nie żyło. A on po wrześniu nie wrócił. Na początku był jeszcze porządek. Dziesiątego przyszło żalobne zawiadomienie z pułku. Nawet nie zdążyliśmy się dobrze do siebie przyzwyczaić. Dobry był — ale ja przecież mu nigdy nie powiedziałam „mój”. Nikomu tak nie mówiłam, tylko potem raz przez sen i to nie o nim. Tak, właśnie o tamtym.

Jesteśmy kobietami — rozumiemy się. Chociaż teraz... i w tym. Naprawdę nie mam się czego wstydzić — on był inny niż oni wszyscy... A może zresztą i nie... Ale to chyba nie jest ważne.

To już tyle lat, tyle lat. Przed tygodniem dostalam... o, ten dyplom... Krzyż Zasługi. 50 lat życia — 25 lat pracy.

„Koleżanka Anna to robi, koleżanka Anna zorganizuje, załatwi. Całuję rączki pani Aniu, czy on mnie kocha ciociu Anno”.

Ciociu Anno — 50-letnia kobieta, która przeżyła pół wieku.

Przepraszam, zapale. Pani pamięta — mieszkanie długo stało puste. Za przestrogną człowiekowi samemu w dwóch pokojach.

Pożyczaliśmy sobie domowe drobniaki. Dzień zaczynała wczesnie praca w fabryce, radio trzeba było wtedy oddać — zostały książki, sąsiedzkie plotki, nadzieja w Sikorskiego i samotność.

Wtedy przyszli oni — na stałe, na garnizon.

Mieszkań było sporo — to było wtedy, kiedy Rachelę dała mi swoją starą patynowaną paterę na owoce, która zawsze tak mi się podobała. Jej już nie była potrzebna, wywieźli ich wtedy za miasto, w wąwozy.

Domy stały wtedy puste, ale szarża chciała mieć wygodne kwatery. Z wiktem i opierunkiem — legalnie, za markę.

Miał przydział z komendantury.

Gdyby nie strach przed nimi — rozemiałabym się na sam jego widok. Można było określić — buchalter w mundurze. Szczupły, suchy, nieco przygarbiony, krótkowzroczne oczy pod okularami i ten plecak, który taszczył za sobą.

Co miałam mówić, wszystko było jasne.

Zaczął w kuchni, a ja przyniosłam wszystkie swoje rzeczy do sypialni i dałam mu cały drugi, stołowy. Jego kozetka stała tam, w rogu. Stara już była, w zeszłym roku dałam ją Mizgalskiej.

Płaszcz i broń zostawił w korytarzu, umył ręce i zaraz poszedł spać.

Całą noc nie mogłam oka zmrudzić. Po prostu bałam się, choć wiedziałam, że przecież krzywdy mi nie zrobi. Nie będzie bił — bo mu gospodyni potrzebna. Zamieciony pokój, posłane łóżko i gorąca woda do golenia.

Rano przyszedł po nią.

Już obuty, w okularach, w wojskowej białej koszuli i szelkach. „Bitte Wasser”. Wszystko leciało mi z rąk — a serce ze strachu stanęło w gardle. Zabrał wodę, nie nie powiedział. Ogolił się i wyszedł.

Kiedy wieczorem wrócił — była to sobota — kazał sobie uprasować spodnie. Przyszedł po nie znowu w tych swoich szelkach i kiedy odchodził do siebie mruknął: „Danke schön”.

Kiedy myślałam potem o tym pierwszym dniu spędzonym z wrogiem pod wspólnym dachem — strach nieco zelżał.

Zawsze jest coś ludzkiego w człowieku, jeśli potrafi powiedzieć „dziękuję”.

I tak pomału przyzwyczajałam się do cudzej obecności w domu. Rano gorąca woda do golenia i herbata, wieczorem prasowanie spodni lub mundur — buty sobie sam czyścił, bieliznę prali im gdzieś wspólnie, na mieście.

To było we wrześniu. Święciliśmy wtedy czwartą rocznicę zwycięstwa

nad nami. Nie mówiłam pani, ale był bardzo spokojny. Tego dnia jednak był inny niż zwykle. Przyszli wieczorem zupełnie pijani i zachowywali się tak... no, jak zawsze spokojny mężczyzna w takim stanie zachowuje się w domu. Wszedł ostrożnie do przepokojku, zdjął buty, starał się być cicho, a wszystko w korytarzu przewracał.

Udawalam, że śpię. Z butami w rękach stapał po cichu i nadsłuchiwał każdego skrzyknięcia podłogi. Dusiłam się pod koidrą ze śmiechu, sama nie wiedziałam wówczas dlaczego, ale już nie mogłam się go bać. Kiedy tak skradal się przez pokój — zrozumiałam, że przecież jest człowiekiem podlegającym tak typowo ludzkim, męskim słabościom.

Następnego dnia nie przyszedł po herbatę i ciepłą wodę. Kiedy weszłam do stołowego sprzątał, już go nie było. Wieczorem przyszedł bardzo późno. Przeszedł chyłkiem przez korytarz i zamknął się w pokoju. O nic nie prosił... Wstydził się.

— Proszę, proszę cukier.

Za parę dni była niedziela, na dworze było brzydko, plucha — jak to w pierwsze dni października. Miał dzień wolny od służby, został w domu. Kiedy gotowałam, przyszedł do kuchni, przyniósł parę puszek konserw, butelkę koniaku i czekoladę. Postawił to, spojrzął jakoś tak — wie pani — przepraszająco i poszedł do siebie.

Nie przelewało się wtedy, ale akurat miałam kurę. Zrobiłam rosół. Zaniosłam mu talerz, gorący aż parzył w ręce. Wciąż jeszcze wstydził się tamtego. Odnosił talerz i siał sobie w kuchni przy oknie.

Cały czas zmywałam i kiedy skończyłam robotę, poprosił mnie, abym się przysiadła. Wyjął z kieszeni mundur porfel, zaczął wyjmować listy i fotografie.

Zona zmarła mu przed samym wrześniem 1939 roku — na dużym zdjęciu drobna blondynka o wesołych oczach.

Zalśnił mu wzrok i suchą twarz rozszerzył uśmiech, kiedy pokazywał mi dwie dorodne, dorastające dziewczyny w towarzystwie podobnej do niego jak dwie krople wody — starszej kobiety. „Meine Mutter, meine Kinder”. Ingeborga i Maria. Śmiał się, coś mi tłumaczył — rozumiałam z tego trzy po trzy — jakie były zabawne, jak dobrze się uczył, a teraz poszły na kursy przeszkolenia sanitarnego. Pokazywał listy od córek — miał niedawno imieniny. Otrzymał laurkę i małe bukietki zasuszonych kwiatków.

Poszedł do pokoju, przyniósł w butelce trochę koniaku, podałam kieliszki, wypiliśmy. Zaśpiewał fałszywie kilka szkolnych piosenek swoich córek, a kiedy wypił herbatę — pocałował mnie w rękę i poszedł do siebie spać.

Była już noc, a ja wciąż siedziałam przy oknie i patrzyłam w ciemność. Nie mogłam sobie sama ze sobą dać rady. Brzydziłam się sobą, a jednocześnie tak nie było.

Całe popołudnie siedziałam z nim, z wrogiem. Tymi palcami, którymi pieścił fotografie córek — zapewne naciskał spust maszynowego pistoletu zabijając ludzi. Oczy, śmiejące się wesoło, zważało chyba wtedy nienawistne spojrzenie.

„Ale jego nie mogłam sobie tak wyobrazić”.

Uśmiecha się pani? Tak, to prawda, wielu z nich miało artystyczne upodobania. Czytali poezję, grali pięknie na fortepianie, malowali wrzszające obrazy — nie przeszkadzało to im mordować z zimną krwią.

Ale przecież nie wszyscy byli mor-

dercami. Ja nie wiem, jaki on był pod tym względem naprawdę. Wiem, że cierpiał bardzo — jak każdy człowiek.

To było zimą, w grudniu 1943 roku. Wieczorem wszedł, zdjął tylko czapkę z nausznikami i tak jak stał w mokrych butach i ośnieżonym płaszczu — powalił się na swoje łóżko. Kiedy rano przyszedłam, wciąż jeszcze tak samo leżał. Zamknęłam swój pokój i poszłam do pracy. Kiedy wróciłam, nic się nie zmieniło. Wciąż leżał, nie poszedł na służbę. Nic chyba nie jadał i o nic mnie nie prosił. Nie wiedziałam, co o tym myśleć i co z tym robić. Bałam się, że zaraz tutaj do mnie przyjdą szukać go, pytać co się stało. Nie mogłam zasnąć i siedziałam w kuchni.

Przyszedł o północy, cicho otworzył drzwi, płaszcz już zdjął, był bez okularów, oczy podpuchnięte, trzymał się ścian. Odkreślił kran, podstawił pod niego głowę, aż woda z włosów zaczęła na podłodze tworzyć kałużę. Odwrócił się do mnie, popatrzył i zaczął cicho płakać. Tak płakać, jak dziecko, które ktoś bardzo skrzywdził. Potem z wpółotwartych, trzęsących się ust zaczęły wylać słowa. Zrozumiałam już na tyle, że przecież wojna to sprawa mężczyzn, on na froncie ich zabijał. Nie strzelił jednak nigdy do dziecka, ani kobiety, ale teraz jak śpotkało go to nieszczeście, nikogo oszczędzać nie będzie. Zaczął szarpać mundur na sobie, runął na kolana i zaczął krzyknąć na cały głos: „Meine kleinen, arme Töchter” — moje małe biedne córeczki.

Bardzo cierpiał, i choć wiedziałam, że nie miał racji, że oni spowodowali, iż ta wojna nie była wojną tylko mężczyzn, coś w duszy niesłusznie przytakiwało jego racjom.

Bomby, które leciały z ich samolotów na nasze miasta, nie wybierały, kto winien a kto nie. Pilot alianckich super-forcie nie segregowali ofiar według płci, wieku i stopnia winy. Ginęły fabryki, ginęły żołnierze, ginęły starcy, zginęły pod gruzami bombardowanego miasta córki Sebastiana.

Nie mówiłam pani? Tak miał na imię. Nie mógł dać sobie sam rady. Pomogłam mu się rozebrać, był roztrzęsiony, wciąż płakał i miał gorączkę.

Leżał w łóżku, kiedy na drugi dzień do niego przyszedł.

Po południu przyszedł wojskowy doktor, zostawił masę lekarstw i surowo polecił doglądać chorego.

„W szpitalu miejsca nie ma — powiedział łamaną polszczyzną — wszystko zajęte do ostatniego miejsca ranymi z rosyjskiego frontu”. Zostawił mi zaświadczenie zwalniające mnie od pracy w związku z koniecznością opieki nad chorym niemieckim podoficerem.

Nie mogłam zostawić Sebastiana samemu sobie. Coś się we mnie rozpekło. Może to z jego ręki zginął mój mąż w trzydziestym dziewiątym, może to z jego winy jestem wdową, ale czy jego córki były temu winne? Przecież wojna kiedyś się skończy, ludzie przestaną być dla siebie wilkami — ale Ingeborga i Maria, kiedy ginęły, nie miały nawet szesnastu lat. Za kilka lat jedna byłaby może lekarzem, druga nauczycielką, a może kim innym. Hitler musi odejść, a Niemcy zostaną. Przecież po tej wojnie będą inne Niemcy. Ktoś musi ludzi na nowo wychować. Może to sprawa Ingeborgi i Marii — one nie żyją — a więc kto? Sebastian jest przecież pełen zapieklęgo żalu do ludzi..

Rozumiałam jego ojcowski ból, jego na tym tle chorobę. Byłam przy nim, polecam nieprzytomnego z bólu i gorączki herbatą z koniakiem, podawałam proszki i lekarstwa.

Jęcząc przez sen trzymał mnie za rękę, powieki miał przymknięte, suche, już mu nie stało leż.

Wie pani... i wtedy... właśnie wtedy zrozumiałam, że został zupełnie sam. I kiedy trzymał mnie za rękę — tułac się w gorączce do niej — nie umykałam mu jej. Poczulałam, że jestem komuś potrzebna, a przecież do tej pory właściwie nie byłam potrzebna nikomu.

Kiedy po kilku dniach spojrział przytomnie na mnie, rumieniec uderzył mi na twarz. Zdawało się, że zajrzał w głęb mnie tym wzrokiem. Stanałam blisko przy nim, ujął moją dłoń mocno pocałował mnie w rękę.

I to było między nami wszystko — nie więcej. Przysięgam pani. Choć teraz po dwudziestu prawie latach od tamtej pory chciała mnie pani koniecznie położyć z nim do łóżka. Rozumiałam mnie. Był subtelny, a przecież — jestem tylko kobieta, wtedy byłam nią bardziej niż kiedykolwiek — a przecież zrobiłabym wszystko, o co by poprosił. Wiem, to są skomplikowane sprawy, ale przecież tak właśnie było. Tylko to.

Zaczął znowu rano wychodzić, wracał na wieczór po dwóch, trzech dniach. Front zbliżał się do nas coraz bardziej. Codziennie czekałam do późnej nocy, a serce tukało się jak oszalałe.

Przed samym Bożym Narodzeniem przyniósł świąteczny prowiant. „Zrobimy wigilę” — powiedział. Trochę nauczył się po polsku. Trudno było wtedy o rybę, ale wystarałam się. 23 grudnia wyszedł jak zwykle rano, obiecał wieczorem wrócić. Teraz zawsze przy pożegnaniu całował mnie w rękę.

I to było wszystko. Wieczorem w Św. Westra zapukał mocno do drzwi. Wydawał mi się jakiś bardziej wyrośnięty, męski. Zapaliłam światło w przedpokoju, a młody, jasny blondyn w mundurze z przyklepionym do pięknych ust uśmiechem wręczył mi pisemko z komendantury, że on — Johann Karsten — ma tutaj mieć kwatery podoficerze Sebastianie Markenhöhe. I tak się zaczął nowy rok. Białystok, 1962

NOWA MŁODOŚĆ STARYCH MIAST

(Dokończenie ze str. 8)

Być może zresztą, że słowo festiwal, kojarzące się nam z imprezami oraz uroczystościami o charakterze artystycznym, padło tu nie bez głębszego powodu. Tegoroczne zbiory bawelny są radością Syryjczyków i skłaniają ich do uroczystych obchodów. Przerosły plon ubiegłoroczny o 25 tysięcy ton czyli o blisko 15%. W okresie trzydziestoletniej unii z Egiptem zbiory były słabe i niezadowalające. Zeszły rok przyniósł już korzystną odmianę, zaś tegoroczne wyniki przekroczyły najsmielsze oczekiwania. Dlatego też szosa między Halebem i wybrzeżem jest na swej bez mała 200-kilometrowej długości zapchana kolumnami ciężarowych aut z belami mocno prasowanej bawelny. Nowoczesnym warcącym karawanom przyglądają się z glinianych kurnych szałasów wiejskich kobiety Beduinów o tatuowanych w sine cętki twarzach, by nie zaważać, ustępując z szos na skraj pół poganiacze małutkich już dzisiaj wielbłądziej karawan oraz pasterze owiec. Zabłąkany w te strony Polak z zainteresowaniem śledzi, jak wędrują wyrosłe na rudziących, spalonych słońcem płaskowyżach Syrii nasze przyszłe trykotaże, skarpetki i wdianka.

Leszek Prok

Biblioteki w środowisku wiejskim

(Dokończenie ze str. 2)

owników kultury. Warto tu zauważyć, że również nie wszystkie książki beletrystyczne służą rozrywce. U podstaw pracy biblioteki leży współdziałanie. Współdziałanie — to przede wszystkim widzenie wspólnego celu, do którego zmierzają różnymi środkami i metodami. W tym właśnie jest bogactwo i jakaś pełność działania. Działania te w zakresie wyznaczonych poszczególnych funkcji spotykają się na wspólnej płaszczyźnie kontaktów z ludźmi. Znajdą się tutaj i szkoły, i domy kultury, biblioteki i uniwersytety powszechne, kółka rolnicze itp. Każda z tych instytucji ma swoją równoległą rolę do odegrania. Rola biblioteki — to czynny udział w pracy oświatowej na rzecz wsi poprzez prowadzenie bibliotecznego służby informacyjnej opartej na zorganizowanym warsztacie pracy i zasobach książkowych. W tym się mieści właściwe wykorzystanie książki do obsłużenia różnorodnych potrzeb środowiskowych i rozbudowania i pogłębiania zainteresowań związanych z jednostko-

wym rozwojem umysłowym i działaniami społecznymi w środowisku.

Wymaga to jednak nowego spojrzenia na metody, środki i sposoby oddziaływania biblioteki na swoje środowisko.

Nie można stosować tylko tradycyjnych form pracy z czytelnikiem tam, gdzie się chce widzieć bibliotekę nowoczesną, korzystającą ze zdobyczy techniki i wiedzy najnowszej, a przede wszystkim mającą być ośrodkiem informacyjnym.

Biblioteczna służba informacyjna to z jednej strony działanie na szerokiej płaszczyźnie pozabibliotecznej, z drugiej w oparciu o własny biblioteczny warsztat pracy.

Pierwszy nurt związany z informacją zbiorową — to ingerowanie biblioteki w życie środowiska poprzez formy, jakimiś powiadzieli, atakujące, o treści związanej z określoną tematycznie grupą książek, jak: afisze, plakaty, wystawy, omówienia przez radiowęzeł, lekcje biblioteczne w szkołach, imprezy czytelnicze z przeglądanymi itp.

Drugi nurt związany z informacją indywidualną — to, odwrotnie, aktywne stosunek środowiska do biblioteki, które ze swej strony poszukuje pomocy bibliotecznej, zwracając się z szeregiem pytań i spraw, a nawet wątpliwości.

Dzięki zasobom biblioteki podręcznej, zestawieniom bibliograficznym i pomocniczym kartotekom zagadnieniowym, bibliotekarz śpieszy z odpowiedzią sam lub przy pomocy

ośrodków informacyjnych w województwie. Często będzie to wskazanie drogi poszukiwania.

Dziedzina zainteresowań jest bardzo różnorodna. Oto parę przykładowych pytań: Co napisano na temat turwosy sztućczy? Gdzie znaleźć wiadomości o budowie szaków? Czy są legendy o Zemborzycach? Jak zrobić gazetkę polskim „Dni odbudowy Warszawy”? Książki o Wojsku Polskim i Rewolucji Październikowej na apel szkolny? Jak urządzić wieczornicę czytelniczą? Gdzie znaleźć opis życia Sciegieniewicza? Co to jest — mane, tekel, fares, itp.

Taką pracę informacyjną prowadzi biblioteki w Wilkowie, Palikach, Modliborzycach, Zemborzycach, Radeckim, Trzcińcu, Międzyzrecu, Frampolu, Woli Różanieckiej i wielu innych.

Jeżeli założymy, że zasadniczą cechą takiej biblioteki jest czynne pośredniczenie między rosnącym ogromem książek a coraz bardziej z czasem wyspecjalizowanymi zainteresowaniami i potrzebami czytelników, to jasno rysuje się nam postać bibliotekarza, który nie tylko uczestniczy w kształceniu życia społecznego, ale którego cechuje gotowość śpieszenia z pomocą.

A pomoc ta staje się z czasem gwarancją ścisłego powiązania biblioteki z życiem środowiska i z pracą innych instytucji oświatowo-kulturalnych.

Maria Gawarecka

PROFILE

AUTONOMICZNA KOLUMNA MŁODYCH

Polacy nie gęsi, swój... słuch mają

Od lat powtarzają się w prasie narzekania znanych krytyków na niemuzykalność młodzieży, na jej absencję w filharmoniach. Piszący te słowa nie bardzo zgadzał się z pierwszym poglądem. Wreszcie powstało zjawisko usprawiedliwiające niewiarę. Mowa o audycji estradowej Polskiego Radia: Mikrofon dla wszystkich. Inicjatorami przedsięwzięcia są red. T. Dębski i A. Wronski, którzy powierzywszy rolę konferansjerów „dwóm panom w okularach” — Świąciewi i Zalewskiemu — zaczęli demokratyzowanie mikrofonu. W rezultacie pokazali młodzieży inną, tzn. rozspiewaną, rozegraną i w wielu wypadkach naprawdę utalentowaną.

Audycja od razu miała powodzenie, wykonawcy zgłaszało się więcej niż było potrzeba, tłumy na salach i większość podczas audycji słuchających radia przy swoich aparatach.

Wreszcie po półtorarocznym istnieniu cała impreza odbyła się w Lublinie. Powodem? — Jak przed występami Marino Marinięgo, bilety na dwa spektakle wyprzedane na trzy dni przed rozpoczęciem imprezy. Powstało pytanie — dlaczego? Przecież tam nie ma sławnych gwiazd. Część widzów i słuchaczy to rodzina i znajomi występujących. Poza tym działa niezaspokojona potrzeba dobrych melodii (publiczność wierzy bardziej amatorom niż niektórym oficjalnym czynnikom „robiącym w kulturze”) i moment niespodzianki, sensacji, a nuż usłyszysz się przyszłą Przybyską.

Wykonawcy płci obojga, w wieku 15—30-letnim to uczniowie, studentki, urzędniczki i robotnicy, mieszkający w naszym województwie. U niektórych najmłodszych wykonawców dawał się zaobserwować zaskakujący brak tremy wywołanej z dziecięcej jeszcze pewnością siebie. Większość miała jednak trzęsienie bardzo wyraźne, w zachowaniu było widać pewne skrepowanie, co dawało swoisty, pełen świeżości wdzięk, którego nie mają występy rutynowanych gwiazd. Spowodowało to inne nastawienie publiczności niż na normalnych koncertach; życzliwość przeważała żądze krytyki.

Poziom imprezy był dobry. Okazało się, że nie brak u nas utalentowanych piosenkarzy i orkiestr jazzowych (np. biorąca udział w imprezie studencka orkiestra Fal-Kiewiczka), ale niestety większość z nich nie ma dobrych warunków do rozwijania swoich uzdolnień i zwykle najzdolniejsi „chalturzą” od przypadku do przypadku. Potrzebne są kluby i teatryki piosenek, w których amatorzy mogliby występować, gdzie byłby reżyser i korepetytor. Centralną ich byłby projektowany przez red. Dębskiego Radiowy Klub Piosenki.

Oczywiście nie mogłoby być mowy o nastawieniu tak komercyjnym, jakiego ma szwedzka Estrada, nadmiernie eksploatająca młode talenty. Prócz braku organizatora bolączka piosenkarzy jest brak dobrych polskich tekstów, toteż młodzi śpiewają dużo w obcych językach, a ponieważ ze znajomością tychże języków nie jest najlepiej, więc często — popuszczają wodze fantazji.

Już dawno stwierdzono, że duże domy kultury z zespołami regionalnymi nie mają powodzenia, szczególnie w małych liczących środowiskach; małe kluby natomiast są operatywne, wszędzie łatwiejsze do prowadzenia i tańsze, przykładem może być Klub Piosenki przy LDK na Zamku, którego przedstawiciele w „Mikrofonie...” występowali.

W Lublinie nie ma nieco wszechstronniejszego klubu z prawdziwego zdarzenia, w którym młodzież mogłaby posłuchać dobrych nagrań, potańczyć, zespoły swingujące pograć, a pieśniarze pospiewać.

Jest to pole do popisu dla władz kulturalnych i organizacji młodzieżowych. Młodzież jest muzykalna i interesuje się różnego gatunku muzyką. Trzeba jej tylko odpowiednio pomóc i nią pokierować, nie będzie się wówczas narzekać na absencję w filharmoniach.

T. K. G.

O Juliuszu Kleinerze

(Dokończenie ze str. 4)

Jerzy Starnawski: o kronice życia i działalności Juliusza Kleintera oraz o jego bibliografii podmiotowej i przedmiotowej. Praca pierwsza jest skrótem tak modnego dziś w naszej nauce o literaturze „kalendarijum życia i twórczości”. Niesłychanie skrupulatnie zestawil tu autor szeroki materiał biograficzny ułożony chronologicznie, dając pogląd na tworzenie się wielkiego dzieła Juliusza Kleintera.

Księgę Kleinerowską zamyka francuskie streszczenie oraz indeks nazwisk. Nad Księgą Kleinerowską czuwał jej redaktor, Feliks Araszkiewicz, zastępcą redaktora był Jerzy Starnawski, natomiast zastuga wydania tej publikacji przypada Towarzystwu Naukowemu KUL.

T. K.

JADWIGA BIADUŃ

Rzecz o spokoju

Przez stulone oczy niebo gładko
błękitne
Myśli mędrców ciężkie jak ptaki co
z daleka
Rozdygotaną ziemię miękko śniegi
koją
Miłość żony ufna bez deseni

Spokój
równina żyzna i laskawa
wielka jak cisza z tamtej strony
baśni
jezioro co wiatr onieśmiela.

Nie marszcz czoła.

WIESŁAW SADURSKI

* * *
Dni płyną szklane, w nienawiści
ukryłeś swoje zle cierpienie

Och, senne lasy, pełen troski
tańczysz nad sobą, przystrojony
w szyderstwo, świetny strój ubogich
i w liście, pełen ciemnej wiosny.

Dni płyną szklane, zwyciężony,
a trzeźwość taka bardziej wroga,
świeciste ostrze, bardziej słodka
niż gorzka, wyzwolona.

Milcząc, nie czekaj tu zbyt długie
chłód wieje od opuchłych głazów.

MARIA BALLOD

Spadek

Podarowałeś mi uznanie
nie ma w nim ani „zapachu ziemi”
ani „otwierania kwiatu” —
nie z piętil
wiecznego różańca.

Ten też zostawia ślady
nie do leczenia przeznaczone.

Wręczasz mi plik recept na dni
wiązane ustępstwami
skośnie ręki dobrotliwie
[pociągniętej]

Dajesz mi kołowrotek
dajesz przedzę na kołyskę
[twojej głowy]

JANINA
WIĘCŁAWSKA

Pieśni

Przy moście Aleksandra
zbudowałam swój domek
niewidzialny

abym mogła co rano
wsluchać się w kamiennych lwów
białą ciszę

i w świeczników pogasłych
nie widać bukiety
dłoń zanurzyć

A gdy wiatr grzbiet strudzony
w kwiatkach Tulleries ułoży
i zadrzemie

gdy świt podwoje dnia
otworzył ludzkim troskom
zniknąć jak cień

By w moim dziwnym domku
z zachwyty i wspomnień
rozdzwonił pieśń
o Moście Aleksandra

Paryst, 30.9.82.

PATRZĘ PROSTO w jego złociste
oczy, pełne błysków i jakby lekko
pulsującej, ruchomej lawy. Pod okiem
człowieka mruży swe niepokojące
ślepi. Gorące krząki robią się teraz
zielone i drapieżne, przymrużone pa-
trzą na mnie ostrymi jak sztydo zren-
nicami. Schylam się i przybliżam
twarz do jego „twarzy”. Dzieli nas
odległość kilku centymetrów. Widzę,
jak jego lekko zmarszczony nos pra-
wie niedostrzegalnie drży i w tym sa-
mym rytmie drga mu pedzelek na
prawym uchu. Schylam się jeszcze
bardziej i dmucham mu prosto w nos,
sztyda jego zrenic uderzają we mnie.
Marszczy nos, unosi czarne aksamitne
wargi, prycha przez ostrą biel zębów,
bulgocze gardłem pełnym nienawiści
i mocną łapą wali prosto w siatkę.
Zglodniały, zmarnięty przyszedł na
ludzki śmietnik. Głód jego musiał być
bardzo wielki, jeśli przyszedł pod dom
człowieka, którego nienawdził i bał się

lewej, to z prawej. Na jego naiwnej
gębie maluje się ciekawość i zdumie-
nie. Gdy na dodatek podnosi tylną
nogę i drapie się w brzuch — parska
śmiechem. Skacze rakieta w ścianę
lasu. Szczeniak.

W TEJ CZĘŚCI puszczy nie byłem
od zeszłego roku. Las wydaje się ta-
jemniejszy i groźny, teren jest bagnis-
ty, a liczne wykroty dodają mu uro-
ku. Na polance za zakrętem zawsze
spotykałem sarny — są i teraz. Na
śniegu eleganckie, miniaturowe tropy.
W ubiegłą zimę przeszła tędy para
wędrownych wilków. Przypominam
sobie pierwsze z nimi spotkanie.

Szliśmy z ojcem wiosennym, świeżym
lasem. Wszystko było ciepłe, radośnie
pocętkowane złotymi plamami słońca.
Nie spodziewając się niczego, wyszli-
śmy z gęstej ściany lasu na szeroki
dukt. Równocześnie z nami wyszedł

SPOTKANIA

JÓZEF ŻEBROWSKI

Osaczony i złapany, siedzi teraz w
klatce. Przez skoitunioną sierść wy-
glądają chude boki. Gdy siedzi spokoj-
nie, przypomina młodego kota, które-
go psy zapędziły na gruszę, a teraz,
zdjęty przez gospodarza, ma zawsty-
dzoną minę. Wystarczy podrapać go
za uchem, a zacznie ocierać się i
mruczeć.

Gdy podchodzi, znowu prycha ostr-
zegawczo. Zjadł pół królka — stąd
ten animusz. Robi mi się go żal. Już
nigdy nie pójdzie ścieżkami swoich
łowów, nie siądzie na wielkim konar-
ze dębu, by czekać na zgrabne sarny,
nie przemienie nocnym cieniem pod
czerwonymi masłowymi sosnami.

Ryś, władca puszczy — na zawsze
w klatce.

ODCHODZĘ do krzyżujących się
duktów. Stukając butami o drewnia-
ny słup oddziałowy otrzepuję śnieg.
Z pobliskich gąszcz słychać tętent i
na trybę wpada byczek. Odległość bli-
ska. Nieruchomieję. Młody szóstak
stoi na szybach i zaniepokojony wietrzy.
Nagle jego wzrok pada na mnie. Sto-
ję za oddziałowym słupem sięgającym
do pasa i dlatego jelenie nie może mnie
„rozszyfrować” — u góry jakby czło-
wiek, u dołu pień. Jak widzi w teatrze,
któremu zaslanają inni, zagląda to z

on. Zaskoczenie było obustronne, cho-
ciaż gdy patrzę na to z perspektywy
czasu wydaje mi się, że zaskoczeni
byliśmy tylko my. Odległość była bli-
ska, bardzo blisko. Zaiopotała mi w
głowie myśl: „Strzelbę! Och, żeby ter-
az mieć strzelbę! Taką okazją!”

A on stał i patrzył — nie wiem, czy
obezwładnił nas niespodziewanym
spotkaniem, czy zaczął wrozić.
Długi, klinowaty łeb, ozdobiony
zimowymi bokobrodami, trzymał wy-
celowany w naszym kierunku. Jego
zadziwiająco siwe futro było skoitu-
nione, wylaziła z niego kłakami zim-
owa sierść, obwisły brzuch nadawał
jego sylwetce pozory dobroduszości.

Inaraz, gdy tak patrzyłem w jego oczy,
dojrzałem czający się w nich smutek.
Nie były to oczy sarny — wilgotne
i słodkie, były to oczy wilka, ale peł-
ne jakiegoś, prawie ludzkiego smutku.
Odwrócił powoli łeb i spuściłszy go
nisko, odszedł kolebiącym się krokiem
starego, pełnego goryczy człowieka.
Byłem pełen wdzięczności dla siebie,
że nie muszę do niego strzelać... Czyż
można strzelać w plecy starym,
smutnemu człowiekowi? Spojrzałem
na ojca. Był zamyślony. I nagle jakby
prysło oczarowanie, zaczęliśmy mó-
wić jeden przez drugiego, ożywni,
podekscytowani, nerwowi.

PRÓBA POKAZANIA CZY PRÓBA ILUSTRACJI

Zycie kulturalne studentów lubelskich ożywiła w styczniu śmiata pre-
miera teatryku Gong 7,30. Zespół studentów UMCS wystawił adap-
tację utworu Jacques'a Préverta: „Próba opisanie pewnej kolacji głów
w Paryżu we Francji”.

Adaptacja miała nieco zmieniony tytuł — „Próba pokazania...”
Ta drobna zmiana może być punktem wyjściowym rozważań krytycz-
nych. Premierę nazywam śmiatą, ponieważ odwołano się na przedstawienie
rzeczy niescenicznej.

Surrealistyczna groteska Préverta jest, jak wynika z tytułu, relacją nar-
ratora. Ta opisowość i epizodyczność (akcja główna jest też epizodem) po-
zbawia utwor dramaturgiczności sensu stricto.

W adaptacji nie udało się wyeliminować narratora, więc umieszczono go
bardzo pomysłowo w makiecie telewizora.

W efekcie sytuacji na scenie dublowały tekst relacji. To wtedy było nie-
rażące, gdy scena wnosila coś nowego, stwarzającego swoisty dialektykę mię-
dzy nią a narratorem. Takim trafnym chwytym inscenizacyjnym było owi-
nięcie białą materią głów aktorów, w ten sposób podkreślono jedność śro-
dowiska społecznego, z którego pochodzili uczestnicy kolacji. Chwyty były
sprzeczny z tekstem — gdzie postaci miały na głowach rozmaite przedmioty,
pasował jednak do atmosfery utworu. Bogata, surrealistyczna obrazowość
Préverta nie ułatwiała zadania zespołowi. Przyczyną innych trudności były
rekwizyty. Groteska opisuje kolację wydaną w Pałacu Elizejskim dla sfer
rządzących i posiadających Francji. Teatrzyk oczywiście nie mógł sprostać
sztafelowi salonowemu. Były chyba dwie możliwości rozwiązania problemu:
albo użycie symbolów, albo zastosowanie imitacji.

Wybrano niestety imitację, w rezultacie kiepską i tandetną, narzucającą
skorzarzenia z przedstawieniami szkolnymi, np. frak z materiału na fartuszek
dla uczennic. Zbyt młodociane figury niektórych członków zespołu grają-
cych rolę ludzi raczej starszych sprawiały podobne wrażenie, jak głosy
pewnych pań naśladowujących dzieci przez radio. Bardzo dobrą koncepcję in-
scenizacyjną, odpowiadającą surrealistycznemu klimatowi utworu, a jedno-
cześnie kontynuującą wspomnianą dialektykę, było zagranie „prawdziwego
człowieka” przez dwóch aktorów wykonujących jednakowe gesty, o conse-
kwentnie niezawalowanych twarzach, co podkreślało inność postaci.

Szkoda, że zespół „poniósł” przy nadawaniu wymowy spektaklowi.
Utwór Préverta to konsekwentna groteska. Tak samo traktowane jest zda-
wienie główne: Prawdziwy człowiek, który utargnął na sałę i przypomniał
ludzi nieszczęśliwych i skrzywdzonych, dostaje w czasie swojej tyrady od
jednego z biesiadników szklankę w głowę. Narrator przechodzi nad tym wy-
darzeniem do porządku dziennego, jak nad innymi, lecz nonszalancja, z którą
to robi, powoduje nadanie wymowy utworowi bardzo potęsiaglitwe. Tymcza-
sem aktorzy utrzymujący się do tego momentu w dobrej konwencji zaczyna-
ją niepotrzebnie grać serio: wprowadzają patos.

Takie potraktowanie faktu samego w sobie groteskowego daje ideologicz-
ną „chalturowość” przedstawienia, która decyduje o jego nierówności.
Catość przedstawienia charakteryzuje dość wierne trzymanie się tekstu,
brak odwagi do większych cięć, dlatego naprawdę adekwatną nazwą przed-
stawienia byłaby „Próba ilustracji”.

Sam wybór takiego tekstu do inscenizacji był chyba zbyt ambitny, nie-
liczący się z własnymi możliwościami. Ale z drugiej strony trudno go nie
rozumieć, gdy się zważy deficyt tekstów dobrych dla tego typu teatrzy-
ków, również lepszy jest zamiar taki, na którym młody zespół się trochę
„potamie” zdobywając, doświadczenie niż „chaltura” z braku czego innego.

Krzysztof Głogowski

JAN GOLKA

Jestem...

Jestem mały kamyk —
nie mam blasku i wagi,
nie mam siły,
męczę się szybko
i jakże często przegram.
Co cię ku mnie przybliży?

Napić się można wody,
niebieskiej, chłodno-bystrej,
mnie napić się nie można.

Odpocząć można w cieniu drzewa,
w zielonych ustach wiatru —
przy mnie odpocząć nie można.

Ucieszyć się można Szczaćciem,
Nieznana Wyspa Wielkiego Oceanu —
ze mną cieszyć się nie można.

Moja miłość jest jak z garści piachu
jedno popielate ziarno:
bez blasku i siły,
nie zaspokaja, nie jest wytchnieniem,
nie jest szczęściem.

Moja miłość nie jest chępliwą.

ANDRZEJ ZATORSKI

Pole

Kiedy dyplomaci hodują białe gołębie
czynią to ziarnem z chłopskiego pola.
Jednocześnie obliczają:
Ile potrzeba bomb, by to pole zorać.

Słowo

W wartości używania
niezauważone
jak ranek i wieczór,
nawykowo potrzebne,
ogniwo łańcucha
codziennosci.
Nagle wyrwane
z reguł gramatyki,
zadźwięczy o małżoninę ucha
nasienie innego znaczenia
odarte z mięszu
wymowy.

KWIETNIK

RYSZARD PODLEWSKI

W MIASTECZKU powołano do życia piękny placik. Postanowiono zrobić tuskwer, jakiego nie ma w całym kraju. Fachowiec ogrodnik zabrał się więc ochoczo do pracy, zastrzegając sobie jednak ścisłą tajemnicę służbową.

Tematyka kwietnika stała się odąd przedmiotem licznych rozważań społeczeństwa, dociekań prasowych i zakładów. Miasto podzieliło się na dwa obozy. Byli tacy, którzy twierdzili, że powstanie tam piękny herb miasta, a byli inni, skłaniający się ku zegarowi kwiatowemu.

Ogrodnik pracował za wysokim parkanem z desek zupełnie samotnie. Po tygodniu takiego napięcia — nadszedł dzień uroczystego odsłonięcia klombu.

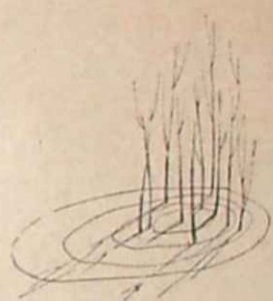
Od rana tłum falował wokół frapującego obiektu. Robiono ostatnie zakłady. Dzieło ogrodnika, okryte płótnem, przygotowane do pułocznego odbioru, czekało statycznie. Jak to klomb. Orkiestra dęła we wszystkie trąby. O oznaczonej godzinie, najstarszy mieszkaniec miasteczka, przy akompaniamencie hejnału, wykonanego przez chłopca w stroju regionalnym, na sprowadzonych ze stolicy organach kinowych — zdarł zasłonę.

Z tysięcy słotczych piersi wydarł się okrzyk zachwytu. Na klombie rozkwitł wszystkimi barwami — cud ogrodniczego kunsztu!

Zadną ze stronnictw nie odniosło zwycięstwa. Był to bowiem wielki, morna śmiało powiedziec — panoramiczny portret przewodniczącego miejscowej rady narodowej. Zupełną, fotograficzną wierność trudno było osiągnąć, zważwszy na rodzaj tworzywa, a przecież konterfekt wykonany był z zadziwiającym realizmem kolorystycznym. Przewodniczący, rozpostarty na klombie miał usta ze świeżych maków, oczy z setek niezapomnianek, włosy z żółtych nasturcji, a kołnierzyk, gors i mankiety — z białych narcyzów.

Zmysł rzeczywistości popchnął jednak artystę nieco za daleko. Otóż nos włodarza miasteczka mienił się całą gamą odcieni — fioleto! i o przesądziło sprawę. Ogrodnik otrzymał... doroczną nagrodę Towarzystwa do Walki z Alkoholem. Z rąk nowego przewodniczącego odebrał też nagrodę kulturalną miasta.

Poprzedniego gospodarza grodu zdjęto ze stanowiska za notoryczny alkoholizm.



"I dwa ujrzałem miesiące..."

Fot. dr Jacek Jedliński

KRONIKA KULTURALNA 4 województw

BIAŁYSTOK

CO NAJMNIEJ DWA NOWE MUZEA powstała w tym roku w województwie. Na 22 lipca przygotowuje się otwarcie Muzeum Ziemi Goldapskiej, a w Nowogrodzie nad Narwią trwają prace nad rekonstrukcją istniejącego przed wojną muzeum regionalnego, tym razem w autentycznej chacie kurpiowskiej. Dodajmy, że w maju odbędzie się w Goldapi wystawa dorobku gospodarczego, kulturalnego i turystycznego.

TEATR IM. WĘGIERKI przygotowuje prapremierę sztuki współczesnej Bohdana Drozdowskiego „Ostatni brat” w reżyserii Krystyny Meisner. Ale chyba wcześniej będą wystawione „Słuby panienskie”. Natomiast „Skiz” Zapolskiej ma być wzniesiony na scenie kameralnej.

BIAŁOSTOCKIE TOWARZYSTWO NAUKO-WE istnieje dopiero kilka miesięcy, ale przygotowuje już do druku pracę zbiorową „Materiały do dziejów ziemi sejneńskiej” z okazji 100-lecia tego miasta. Kończy się druk IV tomu „Rocznika Białostockiego”.

W SPEKTAKLACH DLA DZIECI „W pustyni i w puszczy” na scenie Teatru im. Węgierki w roli Saby występuje autentyczny pies, budząc zrozumiały zachwyt dzieci. Całe szczęście, że w Białowieży nie ma rezerwatu sioni...

W WOJEWÓDZTWIE DZIAŁA 11 OGNISK muzycznych oraz 2 baletowe — w Hajnówce i w Elk. Wszystkie razem mają ok. 1.200 uczniów.

SPÓŁDZIELCZE ZRZENIE CHALUPNIKÓW i Wytwórców Ludowych wysłało w r. ub. za granicę wyroby ludowe wartości 1,5 mln zł. głównie słynne siwaki.

GRN W SZPIETOWIE od kilku miesięcy opłaca kierownika świetlicy, ale z powodu sporów lokalowych świetlicy wciąż nie ma. Co wobec tego robi kierownik poza wyklócaniem się o lokal?

JAKO JEDNA Z NIELICZNYCH W POLSCE Powiatowa Komisja Koordynacyjna w Suwałkach potrafiła zebrać w jedno środki finansowe na działalność kulturalną. Z sumy 90 tys. zł dostało się nawet 5 tys. zł harcerekkiej akcji podwórkowej.

KIEŁCE

ROZSLAWIONE PRZEZ ZEROMSKIEGO żródelko „Biruty” zostanie obudowane i — jak mówią fachowcy — zagospodarowane. Dla nasładowców pisarzy znajdzie się nawet kamień, na którym będzie można podumać. Oby z korzyścią...

PO WYSTĘPACH W KIELCACH, Ostrowcu i Starachowicach Teatrzyk Dziennikarza i Aktora wyjeżdża na tournée — jeszcze nie zagraniczne, ale poza teren województwa.

W KONKURSIE ARCHITEKTONICZNYM na oszczędne projektowanie mieszkań pierwsze miejsce zajął zespół inż. arch. Ireny Mrozowskiej.

MIMO WIELU ZAPEWNIENI kino panoramiczne przy ul. Czarnowskiej nie zostało oddane do użytku 31 grudnia ub. r. Kiedy Kieleckie Przedsiębiorstwo Budownictwa Miejskiego zakończy roboty — niestety nikt nie wie.

W GÓRACH ŚWIĘTOKRZYSKICH odkopano i zbadano 1.715 ziemnych pieców hutniczych do wytopu żelaza, czym nasi przodkowie na tym terenie trudnili się już 2.300 lat temu.

R Z E S Z Ó W

ROZPOCZĘTO TU BUDOWĘ dwóch obiektów kulturalnych. Pierwszym jest wielki zakład poligraficzny, którego koszt wyniesie ok. 86 mln zł. Już w r. 1966 będzie można drukować nie tylko gazety, ale i skomplikowane książki naukowo-techniczne. Drugim obiektem jest „kombinat muzyczny”, obejmujący filharmonię i średnią szkołę muzyczną. Będzie to kosztowało ok. 37 mln zł.

W PRZEMYSŁU POWSTAŁ SPOLECZNY KOMITET budowy gmachu dla podstawowej i średniej szkoły muzycznej — razem dla 500 dzieci. Zlokalizowany nad Sanem budynek (koszt 7 mln zł) ma być gotowy w roku 1967.

BYŁ JUZ GŁOSY, zby zagrożone podziemnymi lochami i przeciekami wody Stare Miasto w Jarosławiu zburzyć i na miejscu renesansowych kamieniczek postawić nowe domy. Ale dzięki pomocy prof. dr inż. Feliksa Zalewskiego z krakowskiej Akademii Górniczo-Hutniczej, jak i górników z Bytomia, przystąpiono do prac zabezpieczających. Cenny zabytek zostanie uratowany.

W RZESZOWSKIM DOMU NAUCZYCIELA otwarto klub nauczycielski. Projekt programów zajęć ciekawe — oby również ciekawa była realizacja.

TEGOROČNY SEZON MUZYCZNY Państwowa Orkiestra Symfoniczna rozpoczęła koncertem, w którym jako solista wystąpił skrzypek jugosłowiański Vladimir Markovic, równocześnie dyplomowany inżynier-architekt.

LUBLIN

W MIEŚCIE ZNAJDUJĄ SIĘ 162 zabytki pod ochroną konserwatora. Dla zwiedzających te obiekty turystów uruchomiony będzie na Starym Mieście sklep z pamiątkami — wyrobami ludowymi, widokówkami itp.

TEATR STUDENCKI „GONG 7,30” przygotował sztukę J. Prévarta „Próba pokazania pewnej kolacji głów w Paryżu we Francji”.

Z OKAZJI SETNEJ ROCZNICY POWSTANIA STYCZNIOWEGO Wolew. Archiwum Państwowe i Biblioteka Uniwersyteku im. Curie-Skłodowskiej zorganizowały wystawę akt, druków i książek w językach polskim i rosyjskim. Drugą wystawę poświęconą powstaniu urzędu Biblioteka im. H. Łopacińskiego.

Z POWODU BRAKU LIMITÓW inwestycyjnych wstrzymana została budowa dwóch obiektów: gmachu Polskiego Radia w Lublinie oraz Technikum Plastycznego w Nałęczowie.

W 1960 R. W POWIECIE LUBARTOWSKIM zaczęto akcję pod hasłem „szkoła osrodkiem pracy kulturalno-oswiatowej”. Dziś w 9 powiatach jest już 327 takich szkół-osrodków, do końca pięcioletki ma być 500.

Z OKAZJI 150 ROCZNICY urodzin J. I. Kraśkowskiego zespół szkolny „Zak” w Białej Podlaskiej wystawił „Stara baśń” w adaptacji Wl. Brodnickiego.

NOWO POWSTAŁY KABARET Akademii Medycznej — „Relaks”, dał swoje pierwsze przedstawienie 15.XII.1962 r. w sali Studium Nauczycielskiego. Program oparty na tekstach własnych. Jest to już drugi, obok „Drewno 59”, teatrzyk AM w Lublinie.

NA ZAPROSZENIE KW ZMS przybyła w

(Dokończenie na str. 14)

NIELATWE OBRACHUNKI

MARIA BECHCZYC-RUDNICKA

HABENT sua fata libelli — nasuwa się mimo woli sędziwa refleksja oblegowa, kiedy się myśli o losach utworów ulegających adaptacyjnym zabiegom dramaturgicznym. Najczęściej spotyka je los dosyć smutny. Zwłaszcza powieści. Powieści-arcydzieła. Adaptator — niezadługo partacz, a choćby nawet i spec teatralny — przebiera w bogatym materiale utworu, wycina, zszywa i w końcu czuje się niejako demiurem, który stworzył nowe dzieło ot z drobiazgu — z zebra Adama. Tymczasem kaleki twór wynikły z operacji kładzie się żalostnie na tak zwanych „deskach” lub co gorsza — zdobywa na nich niechlubne powodzenie makabrycznym tańcem szkieleto. Niejedną powieść ogolocoło się z jej najżywniejszych wartości gwoli „żywej akcji” scenicznej.

Lepiej wszakże ma się rzecz z opowiadaniem posiadającym zwiększony watek fabularny i mocną puente. Skrótość tej formy daje adaptatorowi możliwości twórczego rozwinięcia elementów zawartych w pierwotnym utworze, a nawet wręcz zasilenia go własnym kapitałem refleksyjnym. Wiadomo zresztą, jak wielkie dzieła powstawały z wykorzystania nieraz całkiem wątych nowel albo po prostu anegdot.

Przypomnienie tych starych prawd posłużyło mi poniekąd za trampolinę do rozważań nad sztuką Kazimierza Brandysa „Inkarno,” wystawioną niedawno przez Teatr im. J. Osterwy w Lublinie.

W kolosalnym zasobie wszelkich przeróbek dramaturgicznych adaptacja własna Brandysa zajmuje pozornie osobliwe miejsce, albowiem w tym wypadku dokonano, jak się uważa, uszczelnienia eseju. Nie bez kozery jednak użyłam przed chwilą słowa „poznienie”. XIV „List do pani Z.” — źródło „Inkarna” — nabyt pochopnie włożony do szufladki „Eseje”, nadawałby się raczej do szuflady „Varia”, skąd historycy literatury biorą na warsztat zakłócające ich spokój formy niesklasyfikowane. I jeśli nawet nazwiemy rzeczony „List” antynową, faktem niemniej pozostanie, iż ów sen-wspomnienie z teraźniejszości ma w sobie tyleż elementów rasowego opowiadania, co eseju. Był zatem Brandys-adaptator w normalnej korzystnej sytuacji dramaturga przerabiającego opowiadanie. Rzecz jest świetna, autor znakomity. W takim wypadku można oczekiwać, że zawarte w utworze myśli, obfite i głębokie, wcielone w konkrety sceniczne zaostają się niejako i pomkną ponad rampą naszym strzały wypuszczone ręką łuczniczka-mistrza. Innymi słowy zabieg dramaturgiczny wzbogaci utwór-źródło.

Ale tak się nie stało. Plastyka i poezja — nieocenione zalety „Listu” opowiadającego o „śnie” — ułotniły się całkowicie z retorty dramaturga. Tę i inne straty spowodowało niestety właśnie to, co stanowiło o wysokiej randze „Listów do pani Z.”: ich bogactwo myślowe. Wtłoczone w pełnej swej objętości do kształtu scenicznego rozsada ten kształt nieomal do stopnia informułu wymagającego od widzów ogromnego wysiłku scalenieowego, aby nie wyszli z teatru w jałowej rozterce. Natłok „myśli nieuczestnych” o wielkim ciężarze gatunkowym przyniósł metaforę, co się dzieje w teatrze zawsze ze szkodą realizacji. Metafora przecie ma własne życie i swoje prawa. Nielatwa to rzecz właściwie ustawienie stosunku między metaforą sceniczną a założeniami ideowymi, które ona powinna uzmysłowić. Wiadomo, że skumulowanie refleksji, sentencji, aforyzmów, niechby nawet najbardziej frapujących, przytępią w końcu wrażliwość adresata i okazuje się wówczas, że artysta śpiewał nie na diafragmie: głos jego „nie niesie.”

Nie tylko zresztą niedogodności adaptacyjne wpłynęły niekorzystnie na recepcję sztuki, ale jeszcze inne czynniki. Najważniejszym z nich jest chęć i potrzeba mówienia aluzyjnego. Skąd się bierze? — Otóż wieloznaczność (sprowadzająca się niekiedy do zamierzonego braku komunikatywności) uchodzi działającą za jedną z naczelnych cech nowoczesności. Poza tym daje ona autorowi możliwość operowania sugestiami bardziej swobodnymi, niż bezpośrednio wypowiedzi ujęte w

fakturę realistyczną. Tak, tylko że autor musi się pogodzić z poważnym ograniczeniem kręgu odbiorców. Odbiorca nie ma ochoty siedzieć w teatrze jak na tureckim kabanu, zwłaszcza gdy recenzenci nie wybawiają go z kłopotu, uciekając się z kolei do orzeczeń enigmatycznych — również ze względu na modę bądź na jakąś istotną czy urojoną obiektywną konieczność.

Brandysowe „Inkarno” należy do wielkiego, światowego cyklu utworów, których autorzy wyrażali w tej lub innej formie troskę o morale człowieka, o jego postawę w społeczeństwie mniej więcej cywilizowanym. Wiadomo, jakie nasilenie tej problematyki nastąpiło po ostatniej wojnie, która bezprzykładnie podważyła wiarę w dobroczynny wpływ cywilizacji, podając w wątpliwość sam sens istnienia ludzkości. Beckett doszedł aż do „Końcówki”. Dürrenmatt w swym arcydziele „Wizyta starszej pani” skierował totalne oskarżenie przeciwko całemu „cywilizowanemu” społeczeństwu, właściwie przeciwko naturze ludzkiej, która w dotychczasowych warunkach cywilizacyjnych pozostaje potencjalnie zbrodnica, zdolna nie tylko do czynów wynikających w stanie prymitywnym z naturalnej walki o byt, ale i do czynów nikczemnych będących produktem różnych aspiracji człowieka w społeczeństwie „cywilizowanym”. Literatura światowa na przestrzeni wieków roi się od „gniewnych” pisarzy, lecz pisarze dzisiejsi, dzieci wojny i pokory niestabilizowanego, są supergniewni. Sędzia-pokutnik w „Upadku” Camusa tak oskarża „cywilizowaną” ludzką: „Każdemu trzeba niewolników jak powietrza. Rozkazywać to oddychać, pan się zgodzi? I nawet najbardziej wydziedziczeni mogą oddychać. Ostatni na drabinie społecznej ma zone lat dziecko. Jeśli to kawaler — psa... siła rozstrzyga wszystko. Zużyliśmy na to dużo czasu, ale zrozumieliśmy przecie. Zapewne zauważył pan, że nasza stara Europa filozofuje wreszcie w rozsądny sposób. Nie mówimy już jak w naiwnych czasach: „Tak myślę. Jakie są pańskie zarzuty?” Jesteśmy mądrzejsi. Zastąpiliśmy dialog komunikatem: „Taka jest prawda, powiadamy. Może pan z nią dyskutować, to nas nie interesuje. Ale za kilka lat będzie policja, która panu pokaże, że mamy rację”.

Odnoszę wrażenie, że autor „Inkarna” jest jednak mniejszym pesymistą, niż mogłoby się wydawać przy odbiorze jego sztuki. Wprawdzie jej bohater — Anatol — jest nekany zwątpieniami egzystencjalisty, myśl o śmierci przekreśla w jego pojęciu sens jakiegokolwiek aktywności. Ale w gruncie rzeczy największe jego udręki zaczynają się wraz z zastosowaniem do niego „leczenia” metodą inkarno. Cóż to za metoda? — Przy pomocy wstrząsu inkarno Profesor udowadnia „pacjentowi,” że jego psychonercwica ma źródła moralne. „To znaczy,” że on sam za nią odpowiada. W pewnym sensie narzuciliśmy mu swoje poglądy. Wychodził stąd z poczuciem kompromitacji, ale po to, żeby się zrehabilitować, okupił swoją winę — żyć”.

W ten sposób zaważa się w sztuce zasięg oskarżenia do protestu przeciw metodzie inkarno, wiążącej się w jakiejś mierze z doświadczeniami „epoki niedawno minionej”.

Autor wyposażył Anatola — „pacjenta” — „oskarżonego” — w wielki podtekst liryczny. Mimo woli nasunęła mi się myśl, że w „komedii kryminalnej” Brandysa kolejność przeżyć została odwrócona. Ze Anatol (może był adiunkt Profesora) zachorował na „egzystencjalizm” po dobrowolnym stosowaniu metody inkarno. Bardzo to wszystko zagmatwało i uogólniono. Gdy się tekst dokładniej rozszyfruje, dochodzi się do wniosku, iż pesymizm jest tu bądź co bądź mniej totalny niż obiektywny pesymizm sztuk Dürrenmatta. Ale nie każdy widzi teatralny ma możliwość odczytania zaszyfrowanych treści. I nie każdy ponosi ciężką winę za stosowanie metody inkarno. Nie jest tedy aktem sprawiedliwości aplikowanie wszystkim potężnej dawki „egzystencjalistycznej” ekspiacji.

Tak czy inaczej nie ulega wątpliwości, że mamy do czynienia z interesującym eksperymentem scenicznym.

(Dokończenie ze str. 1)

czepnięte z bogatego, jedrznego języka rosyjskiego. Humor jest zjawiskiem udzielającym się. Dobra anegdota obiega kraj szybciej niż serwis PAPowski, niż komentarz po wieczornym dzienniku radiowym. A jeśli tak, czemuż nie mielibyśmy jej wykorzystać w naszej pracy wychowawczej, propagandowej!

A jednak nikt nie umie wytłumaczyć, dlaczego niektórzy nasi działacze, zachęcając oficjalnie do optymizmu, do zerwania z metodą biadołstwa i utyskiwania, jak ognia boją się humoru, dowcipu; zapieci na wszystkie guziki, starają się utrzymać „fason”, wprowadzają atmosferę „sztywnych koinierzyków”, ponurych oględzin spode łba.

Mój znajomy przewodniczący przesydu GRN uchodził za najbardziej nieprzystępnego, nieużytego urzędnika, odgradził się barierą urzędowych formułek od mieszkańców gromady. Wystarczyło jednak, aby przewodniczący wyjechał na kilka dni na jakąś interesującą konferencję do Warszawy, aby atmosfera w gromadzie zmieniła się nie do poznania. Przewodniczący przywiózł ze stolicy masę nowin, widział najwyższych dosojników, ba, przemawiał w ich obecności, dyskutował. Opowiadał o tym gorąco, z zapałem. Ale obok tego nauczył się w ciągu tych kilku dni żartować z ludźmi, zachęcać ich do zwierzeń błyskotliwym dowcipem, anegdotą — Przełamał się nasz przewodniczący — mówią z uznaniem chlapi. — Jest teraz ludzki.

Byłem przypadkiem świadkiem poczucia humoru i na znacznie wyższym szczeblu.

Odbyła się uroczysta, namaszczona akademia. Stremowany, zdenerwowany przewodniczący zaprasza do przysydu oficjalne osobistości. Czytają wprawdzie z kartki, ale karteczka dźwię w roztrzęsionych rękach, druk zalewają czerwone plamy. Przewodniczący zmienia końcówkę. Wychodzi, iż znany, zasiedziały, popularny sekretarz KW jest babką, kobietą. Sala zamiera ze zgrozy. No, teraz już koniec, „zdecentralizują” przewodniczącego, ani się obejrzy, niech tylko akademia się skończy. Tymczasem — co to? Sekretarz, sam sekretarz KW czerwieńce, pąsowieje, wydyma policzki i nagle wybucha niepohamowanym, głośnym śmiechem. Śmieje się całe przesyidium. Śmiech jest zaraźliwy. Ogarnia dostoje udekorowaną salę, odbija się echem po korytarzach. Śmieją się biletarzy, kontrolerzy, milicjanci. W wielkiej sali wypełnionej do ostatniego miejsca wytwarza się atmosfera niemal rodzinna, swojska, ludzie poprawiają się w fotelach, rozluźniają napięte mięśnie, klaszcza. Są zachwyceni. — Nasz sekretarz ma poczucie humoru, nie? Inny na jego miejscu... a ten nie, śmieje się, omal nie poklepał tego przewodniczącego. Człowiek. Się wie.

Wiem, że historia z ową żeńską końcówką obiegła całe województwo, ale autorytet towarzysza sekretarza nie ucierpiał. Przeciwnie. Do legend o nim krążących doszła jeszcze jedna, kto wie, czy nie najtrwalsza, której żadna plotka, nawet najsočystsza, nie zdoła zaćmić ani tym bardziej splugawić.

Tłumacza mi często młodzi pedagodzy, iż muszą zachować dystans w stosunkach z młodzieżą, boją się bowiem narazić na szwank swój autorytet, najgorzej — mówią — dać powód do spoufalenia.

Ejże! Na kruchym fundamencie zbudowany musi być autorytet człowieka, jeśli go łąda żart, łąda dowcip zdoła podważyć. Najbardziej przestronne sale, największe okna nie po-

INACZĘJ

trafią rozproszyć ponurej atmosfery szkoły, jeśli nie przyjdzie im z pomocą słoneczny uśmiech nauczyciela. Podobnie w biurach, w zakładach pracy, w najczegodniejszych instytucjach.

Nasze masowe środki komunikacji: radio, telewizja, film powinny o tym pamiętać. Wydaje się, że propaganda nasza, jej aparat, zbudowany na koncepcji „człowiek istota podniosła”, pracuje wciąż na starych obrótach, na przetrzysłych, nieaktualnych założeniach.

Kiedy po wojnie przyjechali do nas małżonkowie Curie, witaliśmy tę parę znakomitych uczonych hymnem narodowym, kompania honorowa prezentowała broń, zaskoczony uczony nie wiedział co ma z sobą robić, aż dopiero jego małżonka znająca dobrze Polaków wyjaśniła, że rodacy jej ubóstwiają patos i pompe.

Uczestników Kongresu Intelektualistów przyjmowaliśmy, każdego z osobna, wielkimi mowami, spikerzy oznajmiający ich przybycie wypowiadali każde nazwisko, każdy tytuł z namaszczaniem, niczym heroldowie.

Ale wedy nie dziwiłiśmy się tej celebrze, kwitowaliśmy ją westchnieniami ulgi. Doczekało się nareszcie: znowu przyjeżdżają wołni do wołnych.

Ale pokolenie, które wyrosło na naszych oczach, nie rozumie patosu, ani tego, którymi nasycone są dzieje naszego narodu, ani dzisiejszego nakazującego skupienie i wywoływanie wrzuseń największych.

Spiker odczytujący uroczystym tonem banalny komunikat, mówca opowiadający w sposób dramatyczny swoje wrażenia z podróży po Francji, wywołują zdziwienie, najczęściej uśmiech. I dlatego chybają celu spotkania, wystąpienia, przemówienia na strojone na najwyższe tony.

Dlatego z trudem naklonić można młodych ludzi do czytania najciekawszych nawet artykułów, ale podanych w dostojnej, uroczystej formie.

Oczywiście, nie chodzi o to, aby każdą sprawę okraszać humorem, aby we wszystkich oficjalnych enuncjacjach brzmiący akcenty beztróskiego optymizmu. Rozumiemy się. Chodzi o to, że na wielu szczeblach, w bezpośrednich spotkaniach z ludźmi patos w ogóle nie jest potrzebny, że trudny problem przedstawiony bezpośrednio znajdzie szybciej właściwy oddźwięk niż gdyby był zawołowany. Kiedy mówca nabrzmiałym głosem zapewnia nas, że oto trzyma na otwartej dłoni całe serce swoje, podejrzujemy go zawsze, że kawałek serca jednak schował i dla innych, a kto wie, czy w ogóle nie częstuje nas wątroba. Wierzmy natomiast chętnie człowiekowi, który z rozbijającą szczerością pokazuje nam pustą portfel, wyrwca kieszenie i prosi o pożyczkę. Dajemy ją, nie czekając na rewers, albowiem brak pieniędzy nie jest dramatem. To się może każdemu zdarzyć.

Nie lubimy piedestałów, nie chcemy na co dzień celebry, nieufnie odnosimy się do ponuraków. Ot, co jest.

Waldemar Babiniec

„Inkarno” na lubelskiej scenie

BERNARD CHMIELEWSKI

ZGADZAJĄC się w zasadzie z udostępnioną mi przed drukiem oceną „Inkarna”, której dokonała p. Maria Bechcycz-Rudnicka, pozwalam sobie zabrać głos na gościnnych łamach „Kamery”, by podzielić się z łaskawym Czytelnikiem wrażeniami, jakie wywarło na mnie przedstawienie Teatru im. J. Osterwy.

Znałem treść sztuki z „Listu do pani Z.” i z własnej przeróbki Kazimierza Brandysa, zamieszczonej przed pół rokiem w „Dialogu” — nie byłam w sytuacji widza, który uzyskał pierwsze wiadomości z afisza. Toteż nie wprowadziło mnie w błąd figurujące pod tytułem określenie: komedia kryminalna. Jest rzeczą jasną, że obydwa jego członki mają w sobie potężny ładunek sarkazmu i odnoszą się do po-

kazanych spraw, nie będąc zwykłą definicją gatunku literackiego. Daleki więc byłam od myśli, że czeka mnie w teatrze pyszna zabawa. I jednak, muszę to wyznać od razu, spektakl zaskoczył mnie swoją mroczną aurą. Nie wytaczał na tym miejscu zarzutów pod adresem reżysera, Stanisława Wieszczyckiego, którego interpretacja, moim zdaniem, dochowała wiary powierzonymu utworowi. — powodem zaskoczenia była po prostu drastyczna różnica, jaka zachodziła między utworem a jego realizacją sceniczną. To, co w „Inkarno” czytany indywidualnie było mądrym i

(Dokończenie na str. 14)

Między wierszami

Sejny — miasteczko schludne, architektura nowoczesna. „A biblioteka? Mój Boże — biblioteka zaszyta wśród ciemnych, cuchnących korytarzy, gdzie na peryferiach, zduszona w dwu ciasnych i ciemnych kłitkach...”. Niedawno prasa donosiła, że w Bielinach, w powiecie kieleckim, bibliotekę umieszczono obok świniarskiego chlewa. Jan Paweł Gawlik w artykule „Paradoks bibliotekarski” (*Życie Literackie*) — z którego cytaty pochodzą — potwierdza alarmującą sytuację powiatowego i gromadzkiego bibliotekarstwa. Fakty i cyfry — pouczające. Ministerstwo Kultury i Sztuki uznało 26 m² jako minimum powierzchni dla biblioteki gromadzkiej, tymczasem 53% bibliotek w skali krajowej mieści się w lokalach poniżej 20 m², w woj. lubelskim 60,7%, a kieleckie 68,9% — ostatnie miejsce w tabeli. Rady narodowe traktują budżet bibliotek jako „coś, z czego zawsze można uszczędnąć dowolne kwoty albo zgola — nie dać ich wcale”. Oszczędności — jak wskazują liczne przykłady — wcale nie muszą szkodzić interesom bibliotek. Jak do tej pory wychodzą one na decentralizacji nie najlepiej. Oddajmy głos autorowi: „Czyżby decentralizacja miała skompromitować się tam, gdzie, wydawałoby się — ma najwięcej racji bytu? Czyżby rzeczywiście należało nawoływać do centralizacji budżetu, przynajmniej w bibliotekarstwie?”

A może wystarczy analiza sytuacji i zarysowujących się tu dysproporcji, aby zapewnić niezbędne minimum środków na realizację — jednej z podstawowych zdobyczy socjalizmu? Warto podumać na ten temat i u nas, bo tego wart.

„Czy kryzys architektury?” — pyta J. Czyż w *Przeglądzie Kulturalnym*. Odpowiedź jest negatywna, niemniej P. K. zamierza kontynuować dyskusję na ten temat. Głównym przedmiotem uwagi w najbliższych numerach będzie architektura i urbanistyka Warszawy. Lista dyskutantów zapowiada interesującą wymianę poglądów. P. K. potwierdza także, że powstanie styczeńowe pozostaje tematem tygodnia, miesiąca i roku. Pisz na ten temat E. Halicz („Minęło sto lat”), K. Groniowski i S. Frybes.

„...ciągle widzimy rok 1863 w tej (...) perspektywie, jaką narzucił nam Żeromski” — pisze H. Markiewicz w artykule „Stefana Żeromskiego słowo o roku 1863” w *Życiu Literackim*. Setna rocznica powstania daje okazję do wielu rewizji, pozwala upowszechniać je w świadomości społeczeństwa. Jest to tym bardziej potrzebne, że lekcji na temat powstania udzielał nam raczej Żeromski, a nie historycy i publicyści. Kierunek rocznicowych refleksji wskazuje J. Maciejewski w

Nowej Kulturze w zakończeniu swego („Sto lat”) artykułu: „Carat zwyciężył na krótką metę. Powstańcy zwyciężyli w perspektywie dziejów. Ich zryw nie był szalenstwem. Był celowym i koniecznym wystąpieniem.”

Ledwie uciechła dyskusja w *Polityce* o feudalach i wasalach, a już Nowa Kultura wtyka kij w nowe mrowisko. Chodzi o model, profil i miejsce polonistyki uniwersyteckiej, szerzej — humanistyki. Nie od rzeczy będzie przypomnieć, że kiedyś toczyła o te sprawy boje *Współczesność*. Tym razem chwyciło za pióro dwoje studentów Uniwersytetu Warszawskiego (M. Szpakowska, A. Menewel). Propozycje Szpakowskiej dotyczą rozwiązania szczegółowych, Menewel podejmuje problem generalnie: „taka historia literatury, jaką uprawia się dla studentów polonistyki, jest zespołem faktów historycznych, nie zespołem faktów intelektualnych. Taka historia literatury, jaką student ma możliwość poznać na polonistyce, jest historią ksiązek i pisarzy, a nie literatury. (...)”

Antyintelektualizm ma skutki fatalne. Absolwent czy student polonistyki jest równie bezradny wobec „Trenów” co „Muru” Sartre’a, wobec Norwida i Brandysa, wobec „Ksiąg pielgrzymstwa” i „Bram Raju”. Pryncypia, na jakich wzniesiono fundament polonistyki, są fałszywe. Preferują pamięć, a nie myślenie, faktografię, a nie zrozumienie, przekładają formułek nad analizę. Uszyte zostały na miarę karla i takiego karla z formy swej wypuszczają.” Ostro powiedziane. Diagnozy studentów zbiegają się z opiniami świata naukowego, na które powołuje się w zagajeniu N. K. Będziemy czekać na propozycje uzdrowienia „rzeczypospolitej polonistycznej”.

Uciechła w tym tygodniu dyskusja wokół poezji „turpistów” (świetny artykuł Grochowiaka we *Współczesności* wystarczyłby na zamknięcie sporu), tym bardziej warto zwrócić uwagę na rzecz T. Różewicza „Kto jest ten dziwny nieznajomy” (*Nowa Kultura*). Przypomnijmy, że najlepszą część swego dorobku zawdzięcza Staff doświadczeniom nowej poezji, zwłaszcza Różewicza. Bo właśnie wystąpienie Różewicza jest posłowiem do wyboru poezji Staffa w układzie autora „Rozmowy z Księciem”. „Wybór ten, mający się ukazać w P.I.W. jest próbą przedstawienia dramatu współczesnego, dramatu aktualnego. Dramatu, któremu na imię Leopold Staff.” Nie potrzebują dodawać, jak ta próba jest konieczna.

Polityka jak zwykle, cała do czytania. Przede wszystkim kontynuuje: „Jeden dzień Iwana Denisowicza”, interesujący „Spór o polskie grzechy” (na marginesie książki Z. Żulskiego „Siedem polskich grzechów głównych”) oraz zamknięcie dyskusji wokół „trzydziestolatków”. M. Rogowski w artykule pod wymownym tytułem *Na porządek* za wcześnie zaleca ostrożność z uogólnieniami. „Pokolenie trzydziestolatków z wszystkimi właściwymi mu wadami i zaletami przyda się jeszcze Polsce.”

T.K.

„INKARNO” NA LUBELSKIEJ SCENIE

(Dokończenie ze str. 12)

błyskotliwym dyskursem... o metodzie, zamieniono się na scenie w obraz wręcz ponury.

Niemniej uważam koncepcję reżyserską za trafną. Oczywiście są granice wytrzymałości widza. Nie zostały one przekroczone w lubelskim spektaklu. Nie mamy jednak moralnego prawa uchylać się całkowicie od przypominania bolesnych spraw, na których można się przynajmniej uczyć. Powinno się je ukazywać w całym ich tragicznie.

Reżyser i aktorzy mieli trudne zadanie. Rzecz dzieje się niby to w eksperymentalnej lecznicy psychiatrycznej, czyli w środowisku sklonnym do wszelkiego rodzaju fantasmagorii. Tymczasem pensjonariusze zakładu wygłaszają aforyzmy całkiem zgrabne i sensowne. Nic zresztą dziwnego, skoro tak naprawdę są tylko alegoriami jak w moralitetach średniowiecznych. I graj tu, człowieku. Główny Temat, Brak Tożsamości, Obiektywną Konieczność! Ale zagrał i dobrze zagrał. Tytus Wilski, Włodzimierz Mikłasiński, Tadeusz Kuduk (podają nazwiska w kolejności wymienionych ról). Szczególnie wyraziście uwydatnił swoją obsesję Zdzisław Winiarczyk (Skamielana Róża), tworząc postać bylego architekta, pokutującego za błąd, swój czy cudzy. Kontrastował wymownie z jego statyczną postawą zewnętrzną chorobliwy niepokój Podsluchiwano (Stefan Buczek). Tadeusz Bourdo (Pietwonurek) dzielnie dotrzymał placu towarzysom niedoli, Anatola, tragicznego bohatera „In-

karna”, jedyną w sztuce postać z kłosa i kości, grają z zmianą Witkacy i Zarychta i Kazimierz Siedlecki. Miałem nadzieję zobaczyć lubelskie „Inkarno” w dwóch aktach. Siła emocjonalna przeżywania aktorów udziela się widzowi w różnym stopniu. Zarychta oddziaływała do pewnego stopnia, Siedlecki — młodzieńcym buntem i rozpaczą.

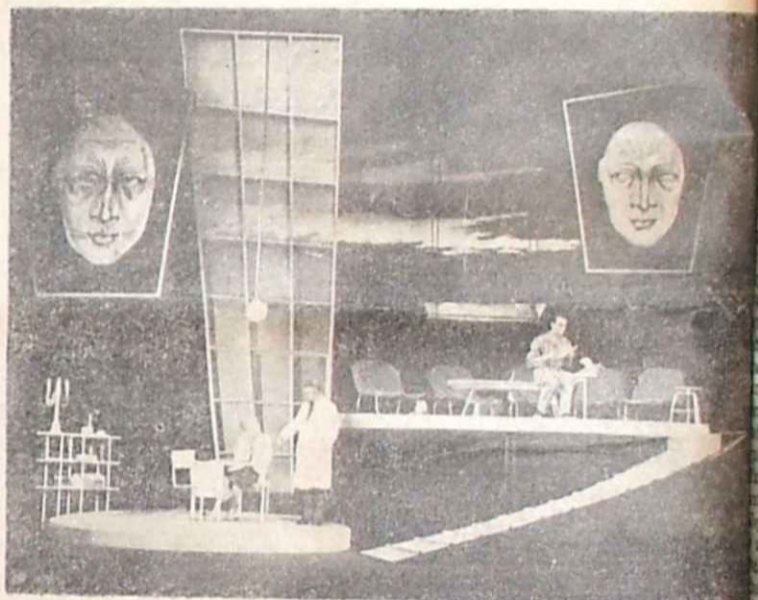
W roli Profesora występuje dwóch aktorów: Janusz Cywiński i Zbigniew Pieczula. „Wygłaszają swój tekst” inteligentnie. Jest to chyba wszystko, co można było dla schematycznej postaci profesora.

Rola Małgorzaty — najbardziej wdzięczna — przypada w udziale Zofii Bajuk. Zdolna, jak się okazało, aktorka robiła i tu co mogła, byśmy uwierzyli, że doktor Małgorzaty i czuje jak prawdziwy człowiek. Nadto wziął udział w przedstawieniu sam reżyser, S. Wieszczycki, grając „Japończyka” Dr Koshito. epizodyczny w pierwszym obrazie. Całkowite zadowolenie estetyczne daje dekoracja Jerzego Róznickiego, bardzo funkcjonalna, umożliwiająca rozegranie akcji na dwóch poziomach, co na pewno widać do spektaklu ożywienie.

Dobre słowo należy się też kierownikowi muzycznemu Teatru, Schreiterowi, który skomponował nastrojowy podkład dźwiękowy kilku momentów „Inkarna”.

W sumie, mimo trudności obiektywnych, spektakl jest ciekawy i interesujący eksperyment zasługuje na uznanie.

Bernard Chmielewski



Na zdjęciu: Zofia Bajuk, Janusz Cywiński i Witold Zarychta

Kronika kulturalna 4 województw

(Dokończenie ze str. 11)

dnia 16.XII.1962 r. do Lublina Hanna Skarżanka. Aktorka spotkała się z publicznością lubelską w czytelnym Klubu MPiK.

W SALI BIBLIOTEKI IM. H. ŁOPACIŃSKIEGO, odbył się w ramach akcji literackiej organizowanej przez ZLP i Dom Książki dnia 17.XII.1962 r. wieczór redakcyjny z udziałem „Kamień”, Marii Bechere-Rudnickiej. Autorka mówiła o pierwszych dniach wyzwolonego Lublina.

W ZWIĄZKU Z 75 ROCZNICĄ powstania języka esperanto, Lubelski Oddział Związku Esperantystów zorganizował 17.XII.1962 r. uroczystą akademię. Odbyła się ona w salach klubu Domu Technika.

ZESPÓŁ WOJEWÓDZKIEGO PRZEDSIĘBIORSTWA Imprez Estradowych w Lublinie wystąpił dn. 17.XII.1962 r. z premierą programu „Warszawska piosenka” w reżyserii Mariana Jokajłaja i Jerzego Rakowieckiego. Program obejrzały mieszkańcy województw: lubelskiego, rzeszowskiego, kieleckiego i białostockiego.

STARANIEM TOWARZYSTWA MIŁOŚNIKÓW, Języka Polskiego, odbył się dnia 19.XII.1962 r. w gmachu UMCS odczyt prof.

dr Tadeusza Brajerskiego pt.: „Elementy obec w polskim języku literackim”.

W KLUBIE LDK „ZAMEK” wygłosił w dniu 21.XII.1962 r. mgr J. Kostrzewski prelekcję: „Idealna żona i mąż w świetle badań psychologicznych”.

W TYM SAMYM KLUBIE, 30.XII.1962 r., prezes Lubelskiego Oddziału ZLP, Konrad Bielski mówił o ostatnim Zjeździe Związku Literatów Polskich.

W ZWIĄZKU Z ROZPOCZĘCIEM NOWEGO ROKU, „Sztandar Ludu” wystąpił z tradycyjną Szopką Noworoczną pióra Mirosławy Knorr, a Lubelska Rozgłośnia Polskiego Radia, z Szopką napisaną przez Jerzego Księskiego.

W DNIACH 4 I 5 STYCZNIA 1963 R. Państwowa Filharmonia Lubelska wystąpiła w sali kina „Przyjaźń” z operą komijną Karola Kurpińskiego „Zamek na Czerstynie”. Wykonawcy: Orkiestra Filharmonii Lubelskiej oraz soliści Opery Krakowskiej — Aleksandra Tomczyk, Halina Szumańska, Bolesław Pawłus i Stanisław Lachowicz. Dyrygował Andrzej Cwojdzkiński, słowo wiążące wygłosiła Janina Berezowska.

„SLUCHOWIZION” — to nazwa nowo powstałego teatru dziennikarzy Polskiego Radia i aktorów lubelskich. Na pierwszy program, którego premiera odbyła się w klubie LDK „Zamek” dn. 6.I.1963 r., złożyły się cztery słuchowiska: „Legenda” Zbigniewa Stepiaka, „Sprawa Nr — 5439” Janusza Danielaaka, „Deszcz”, Janusza Weroniczaka i „Rudy” Jerzego Księskiego. Aktorzy: Irene Miszke, Zbigniew Czeski i Witold Lisowski. Reżyserował Zbigniew Czeski, opraco-

Rozstrzygnięcie konkursu Ziemi Kieleckiej

Ostatnio rozstrzygnięto Konkurs Literacki, zorganizowany z okazji Roku Ziemi Kieleckiej przez grupę literacką „Poniedziałek”, Wydawnictwo Łódzkie, Wydział Kultury Prezydium WRN w Kielcach, kielecki Oddział SPD i „Magazyn Niedzielnny” „Słowa Ludu”.

W dziale poezji nie przyznano pierwszej nagrody, drugą nagrodę uzyskał Wiesław Rostecki za poemat pt. „Sandomierz”, trzy równorzędne trzecie nagrody przyznano Janowi Gołce za poemat „Warkocz”, Andrzejowi K. Waśkiewiczowi za utwór pt. „Miejscu opuszczone” i Marianowi Grześczakowi

za wiersz pt. „W strefie Gór Świętokich”. Ponadto przyznano pięć wyróżnień.

Nagrodę pierwszą w dziale prozy przyznał Irenei Dudek za opowiadanie pt. „na Zawiszy”, drugą nagrodę uzyskał nusz Roszko za reportaż pt. „Bohater szczytów”, trzy trzecie nagrody uzyskał: Tadeusz Ziemecki za reportaż „mia ambicji i biedy”, Stanisław Gled reportaż pt. „Miasteczko” i Bolesław Janiewicz za opowiadanie „Oskarżony przysięga się do winy”. Przyznano też osm wyróżnień.

Na konkurs wpłynęło ponad 200 prac.

wanie muzyczne Marka Jellńskiego, światła — Bogdan Ondra.

W CZYTELNI DZIELNICOWEGO DOMU KULTURY na ZOR Bronowice, otwarto dnia 9.I.1963 r., wystawę wycinanki ludowej Tadeusza Wawrzkiwicza, a 10.I.1963 r. podobną wystawę — Mariana Rzechowskiego, w świetlicy Lubelskiego Przedsiębiorstwa Budownictwa Przemysłowego.

W KAWIARNI FSC czynna jest wystawa plastyczna Zofii Kietlińskiej, członka Lubelskiego Oddziału ZPAP.

(Unia)

Sprostowanie

Szanowna Redakcjo! Do wiersza mojego „List z trzema kłami” zamieszczonego w 24 numerze „Ruchu” z r. 1962 wkraśli się błąd. Poprawne brzmienie początku pierwszego strofu:

„Po chwili długiej i dwóch krótkich (dąki stopa nosi miano)... itd.

Prosząc o zamieszczenie sprostowania pozostaje z szacunkiem Zygmunta Mikulajewicza

Lublin, 18.I.63.